

Tomasz Kołodziejczak

Przygody rycerza Darlana

Wydanie polskie: 2003

iMN

RÓŻA DLA LUCYNDY

Elf Papuszka się nudził. Leżał na wznak na liściu łopuchu, to się pobujał, to podłubał palcem w nosie, to popatrzył na przepływające nad głową chmury. Lipcowe słońce prażyło mocno, opalając Papuszkową twarzyczkę na kolor rumianego pączka.

„A może by tak przekręcić się na drugi bok? - pomyślał Papuszka. - Eee... nie chce mi się”.

Papuszka z wielkim trudem ukończył czwartą klasę w elfiej szkole. Teraz był sam środek wakacji i elf odpoczywał, zapominając wszystko, czego się nauczył - i ptasia mowę, i obyczaje rusalek, i reguły postępowania z olbrzymami. Za to psocił co niemiara. Ale teraz po miesiącu wakacji i to go znużyło, więc się nudził.

„Hej, paniczu! - z zadumy wyrwał go chór delikatnych, drżących głosików. - Hej, hej, paniczu!”.

- Czego? - burknął mało elegancko i ostrożnie otworzył jedno oko. Nie poraziło go słońce, bo przesłaniał je cień szerokich skrzydeł. Kolorowe motyle przesuwały się nad głową elfa, z szacunkiem wachlując go skrzydełkami.

„Paniczu, uważaj! - znów zaśpiewały motyle. - Człowiek, drogą jedzie człowiek!”.

- Człowiek? - Papuszka zastanowił się przez chwilę. - Aaa... takie wielkie, niezgrabne, bez skrzydeł?

„Tak, paniczu - zaświergoliły radośnie motyle. - Bez skrzydeł i kolorów! Paskudne!”.

- Podśłuchałyście go? - Papuszka wiedział doskonale, że motyle, służki elfów, choć wydają się delikatne i niewinne, tak naprawdę są strasznie wścibskie. Ich dar słyszenia uczuć, emocji i myśli już nieraz służył elfowi.

„Tak, panie - wyszeptały zadowolone, że mogą przydać się na coś jeszcze. - Jego myśli są ładniejsze niż on... Chociaż są dziwne. Jest w nich słońce, ale i grom burzy... Jest wesoła piosenka i granie bębnow, i...”.

- I co jeszcze?! - przerwał Papuszkas.

„My nie znamy - motyle jakby się zawahały - tych złych i strasznych rzeczy o których on wie. Ale on ich nie lubi. Chyba jest dobry. Za to cały czas myśli o czerwonym kwiecie królowej. Co to jest królowa, paniczu?”

- Bardzo straszny stwór - mruknął Papuszkas bez przekonania. - No, zmiatajcie! - Widząc w motylach oczach cień smutku, dodał łaskawie: - Dobrze się spisałyście.

„Dziękujemy, paniczu...” - motyle radośnie zakołowały nad jego głową, po czym odfrunęły, Papuszkas przez chwilę obserwował, jak mknęły nad ukwieconą łąką. Ich skrzydełka mieniły się tysiącem blasków wydobywanych przez słoneczne promienie. Lecz błogi nastrój Papuszkasa prysnął zaraz, przerwany nagłym dźwiękiem:

Gdy ci każą żyć wygodnie,

Szpinak jeść, popijać tran,

To ostatnie wciągaj spodnie

I na szlak wyruszaj sam!

Wesoła mina śpiewającego podróżnika wskazywała na to, że uważa się on za osobę niezwykle muzyczną. Papuszkas jednak bez trudu stwierdził, że przybysz się myli.

Elf po raz pierwszy widział prawdziwego człowieka, więc przyglądał się temu stworzeniu z wielką ciekawością. Rozpaczliwie usiłował przypomnieć sobie wszystkie lekcje dotyczące rasy ludzkiej. Na próżno, bo część zajęć oczywiście przespał, a część przewagarował.

„To chyba samiec” - pomyślał Papuszkas, obserwując wysoką, chudą postać. Człowiek ubrany był w brązowy, nieco podniszczony kaftan. Przy jego lewym boku kołysał się miecz, a przy prawym manierka. Znad sumiastych wąsisk i długiego nocha błyskała para ciekawskich, wesołych oczu. Jechał na zielonym, włochatym biegaczu i starannie wyczesanym futrze.

Papuszkas nie bał się człowieka. Mógł mu umknąć w każdej chwili. Zresztą możliwość zabicia nudy warta była odrobiny ryzyka. Bez wahania wyleciał naprzeciw zbliżającemu się olbrzymowi.

- Stój, człowieku! - krzyknął.

Wędrowiec wstrzymał wierzchowca. Zaraz jednak otrząsnął się z osłupienia i uśmiechnął.

- O, elf! - powiedział. - Witaj, maluchu.

- Malu... coo?! - Papuszkas zatrząsł się z oburzenia. Powinien natychmiast się obrazić i zamienić przybysza w bociana. Albo w tego... no... pingwina... Jednak powstrzymał się. Potrzebował rozrywki, zabawy, emocji, a nie zwyczajnych czarów. Papuszkas zaczął knuć.

- A ty kto jesteś, he? - spytał.

- Darlan, błędny rycerz, do usług - człowiek pokłonił się dwornie. - Wędruję po świecie w poszukiwaniu pięknych panien do ratowania, skarbów do zdobycia i ohydnych potworów do pokonania, a przede wszystkim...

- O, potworów, potworów! - krzyknął Papuszkas, udając przerażenie. - O tym właśnie chciałem powiedzieć. Tu niedaleko mieszka potwór; wyjątkowo ohydny troll, taki z krostami i kurzajkami, i niesamowicie wielką gębą,

- Czy trzeba go pokonać?! - oczy Darlana zabłyśły. - Prowadź, maluchu!

- Uważaj! - Papuszkas z trudem przełknął kolejną zniewagę. - To nie jest zwykły troll. Kiedyś złapał stryjka babki mojego szwagra. Trzymał go w grocie przez tydzień. Strijkowi babki szwagra udało się zwać, ale opowiadał straszne rzeczy. A najgorsze - tu Papuszkas dramatycznie zawiesił głos - że troll w kryształowej klatce więzi czerwoną różę...

- Czerwona różę?! - Darlan aż podskoczył w siodle. - Jaką różę?!

- Jak to jaką? Czerwoną, z kolcami. Wiem tylko tyle, bo zaraz potem stryjka babki szwagra zjadła żaba.

- Prowadź, i to już! - zdecydował Darlan. - Albo nie, zaczekaj!

Darlan ściągnął z pleców tobolek. Wyjął z niego kolczugę i hełm. Ubrał się, poprawił miecz przy pasie.

- Prowadź, ma... - zawahał się - panie elfie!

- No, już lepiej - mruknął Papuszkas. - Ale uprzedzam cię, że to niebezpieczne, bardzo niebezpieczne...

- Tym lepiej. Idziemy!

I ruszyli. Papuszkas to polatywał tuż pod nosem Darlana, to odskakiwał nieco dalej. Czasem wzbijał się wysoko w górę, by potem zanurkować do ziemi, czasem krążył wokół głowy człowieka niczym szczególnie wścibska i bezczelna mucha.

„To będzie zabawa - myślał. - Wreszcie skończyły się nudy. Ale go nabrałem z tym kwiatem! Dobrze, że motyle podsłuchały jego myśli... No, niech no tylko spotka się z trollem... Ho, ho. Warto było się nudzić cały dzień na liściu, oj, warto...”.

Uważnie słuchał opowieści Darlana, żeby potem móc ją jak najlepiej wykorzystać.

- Jestem błędnym rycerzem. Podróżuję po świecie w celach turystycznych, ale także po to, by spełniać różne dobre uczynki i zakochiwać się w pięknych księżniczkach. Niedaleko, w kraju Korn, mieszka prześliczna królowa Lucynda. Mówię ci, Papuszkasie, jest piękna! Cały czas kręci się wokół niej tłum książąt, królewiczów, cesarzy i padyszachów. A także rycerzy nieco mniejszego kalibru, takich jak ja. Ale królowa jest wybredna, piękna, lecz kapryśna. Tego nie chce, tamtego nie lubi, ów zupełnie się nie nadaje. No i rozdziela zadania. Śmiałek, który je wypełni, może się starać o jej rękę. Ostatnio Lucynda zażyczyła sobie Czerwoną Różę, magiczny kwiat przywracający młodość. Podobno rośnie on gdzieś w ukryciu, strzeżony przez potwory. Myślałem, że to gdzieś na krańcu świata i że pilnują go jakieś dziwne monstra, jednookie cyklopy na przykład. A do tego krańca świata strasznie daleko - to trzeba przejść las, to podejść pod górę, to znów przejechać przez całe królestwo. I nagle proszę: Czerwona Róża znajduje się o tydzień drogi od stolicy, i to strzeżona przez jednego głupiego trolla.

- Głupi to on może jest - ostrzegł Papuszkas. - Ale brzuch ma jak beczkowóz, zęby jak sztachety, a łapy jak szpadle. Urodą nie grzeszy i wykorzystuje to przed walką do ataku psychologicznego.

- Błędny rycerz - powiedział z dumą Darlan - nigdy nie cofa się przed niebezpieczeństwem... Co, niestety, prowadzi do gwałtownego zmniejszenia pogłowia moich kolegów po fachu. Daleko jeszcze?

- Blisko, za tą krzywą olchą - wyszeptał Papuszkas niby to przerażonym głosem, choć w duchu zaśmiewał się serdecznie.

W jednej chwili drzewa rozstały się. W nozdrza Darlana buchnął zapach zgniłego powietrza, jaki zawsze otacza legowiska trolli. Sam właściciel tego śmietnika leżał przed wejściem do grotty. Maczugę oparł o skalę, wypiął brzuch i leniwie dłubał w zębie kawałkiem ułamanej kości. Kiedy usłyszał kroki człowieka, stęknął, splunął i z trudem podniósł się z ziemi. Miał bambaryłowaty brzuch, ramiona zakończone wielkimi łapami i tępe jak trzonek noża spojrzenie.

- He, he - zarechotał. - Człowiek? Dawno tu takiego nie widziałem. Na obiad się przyszło, he, he? W charakterze dania, he, he?

Darlan się zawahał. Troll był wielki, a jego wyszczerbione zębiska wyglądały nader groźnie. Papuszkas poczuł, że musi działać. Machnął swoją małą dłoń, chwytając lekki wietrzyk tańczący pomiędzy drzewami. Nie potrzebował całego, oderwał więc tylko jedno pasemko wiatru. Zmiał je w dłoni, chuchnął i pchnął w stronę jaskini. Czar powoli popłynął ku trollowi. Potwór coś wyniuchał. Kiedy zakłęcie przelatywało koło jego głowy, pociągnął nosem, jednak nie zdołał namierzyć delikatnej woni elfowej magii. Czar wpłynął do jaskini i rozwinął się za plecami trolli w doskonałą iluzję. W migotliwej, kryształowej klatce pulsował żywą czerwienią Kwiat. Doskonale piękny i delikatny, wabił i przyzywał.

Darlan dostrzegł go. Nie wahał się dłużej. Wyciągając miecz z pochwy, runął na trolla z bojowym okrzykiem na ustach.

- No to będzie łupu-cupu! - powiedział stwór spokojnie, sięgając po maczugę.

- Oj, będzie - Darlan łupnął z całej siły mieczem. Troll zastawił się, aż człowiekowi zadrżała

ręka. Potem sam wziął zamach i walnął z całej siły, mierząc w głowę Darlana. Rycerz uskoczył zwinnie i maczuga zaryła w ziemi, wyrywając kępy brunatnej trawy. Darlan trzepnął trolla w pochyloną głowę.

„Ale ubaw, nie ma co, świetnie to wymyślił!” - Papuszka nie mógł wyjść z zachwytu nad własnym sprytem. Tymczasem troll i rycerz okładali się systematycznie i z dużym samozaparciem. Pokrzykiwali przy tym na siebie, używając słów, jakie doskonale zna każdy szanujący się troll, a jakich w żadnym wypadku nie powinien znać szanujący się rycerz. Ale Darlan z niejednego pieca chleb jadł i w czasie swych wędrówek nauczył się nawet ohydnych języków goblinów i szwindlaków. Walka trwałaby jeszcze długo - szybkość rycerza i siła potwora wyrównywały szanse. Darlan zrozumiał to i postanowił przystąpić do negocjacji:

- Oddaj mi piękną różę, potworze, a łaskawie daruję ci życie!

- Różę?! Piękną?! - tego ostatniego słowa troll najwyraźniej nie znał, bo ze zdziwienia zamarł w bezruchu.

- A masz! - Darlan uznał, że chwila słabości przeciwnika to ostateczny powód do zerwania negocjacji. Z całej siły zdzielił trolla mieczem przez łeb. Potwór ryknął rozpaczliwie, a potem zachwiał się i zwałił na ziemię. Darlan już biegł do jaskini.

- Róża! Czerwona Róża dla Lucyndy! Przyniosę ci ją, pani, ja, Darlan! Rycerz może niezbyt bogaty, ale mężny sercem i silny duchem! Ale będzie...

Urwał w pół słowa, bo w chwili, gdy już dopadał klatki z cudownym kwiatem, Papuszka zwolnił czar. Obraz róży zmętniał, a potem rozmył się i rozprysnął na tysiąc drobin. Uwolniona strużka wiatru z radością powróciła do głównego strumienia, by swobodnie hasać po lesie. Klęczący Darlan usłyszał za plecami śmiech Papuszki.

- Ale głupol, ha, ha, ha, ale się dał nabrać, ha, ha, ha! jak to było? Mężny ciałem i silny sercem? Ha, ha, ha! A inteligentny jak to, bez czego szewc chodzi!

- Och ty! - dłonie rycerza zacisnęły się w pięści. Darlan skoczył w stronę złośliwego elfa, ale nie miał szans, żeby go złapać. Papuszka leciał tyłem, wciąż szczerząc się do wściekłego Darlana. Lecz nagle elf spostrzegł, że twarz rycerza zmienia się, a złość ustępuje miejsca strachowi. Równocześnie poczuł za plecami jakiś ruch i usłyszał głośne sapnięcie. W chwilę potem uderzył w coś twardego i dużego. Zobaczył jeszcze wielką spadającą łapę, a potem ciemność okryła go swym brudnym kocem.

Elf Papuszka powoli odzyskiwał przytomność. W głowie mu huczało, rozproszone myśli nie układały się w spójną całość, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest i co ostatnio robił. Otworzył oczy.

- No, jesteś z powrotem, maluchu - ogromny nochal i krzaczaste wąsy to pierwsze, co zobaczył elf. Potem dostrzegł oczy: ciemne, błyszczące, dobre. Nagle przypomniał sobie wszystko i poczuł

ogromny wstyd. Spróbował wpełznąć pod liść, którym przykrył go Darlan.

- No, no, już w porządku - rycerz zsunął liść palcem. - Za mało mu dołożyłem za pierwszym razem i jeszcze się podniósł. Ale poprawiłem, a jakże, raz i drugi, tak że aż piszczał ze strachu. Obiecał, że wyniesie się w try miga, tylko prosił o trochę czasu na spakowanie kufra. Dałem czas, pomogłem się pakować i hajda, wysłałem za siódmą górę. Już tu nie wróci.

- Oszukałem cię - wymamrotał Papuszka, czując, jak czerwieni mu się mocno przeciw opalone policzki. - Wiesz, ten kwiat...

- Wiem - spokojnie powiedział Darlan. - Iluzja, złuda... Wiesz... Nie jestem na ciebie zły. Chciałeś się mną zabawić, a pomogłeś mi, naprawdę.

Papuszka zrobił mądralową minę, choć jego oczy mówiły: „Nie rozumiem”.

- Pojąłem, że ten mój pościg za różą to właśnie jest fantazja, iluzja, czar. Przecież Lucynda to królewna. Musi pokochać królewicza, no, choćby księcia. Ewentualnie szewczyka. Nigdy biednego rycerza.

- Więc już się na mnie nie gniewasz? - spytał Papuszka cichym głosem.

- Nie - Darlan podkreślił wąsy. - No, może trochę. Zresztą, po co mam znajdować Czerwoną Różę? Wtedy musiałbym odnieść kwiat do Korn. Królewna przyjęłaby ode mnie podarunek i postawiła obok setek innych prezentów, jakie dostaje od zalotników. A ja, cóż miałbym wtedy robić, jaki miałbym cel? Wiesz, czasem samo szukanie jest znacznie ważniejsze niż znalezienie, a pościg za tajemnicą bardziej ekscytujący niż jej odkrycie. Rozumiesz?

- Rozumiem - przytaknął Papuszka bez przekonania.

Nieco później rycerz Darlan wyruszył w dalszą drogę. Nim jego sylwetka całkiem zniknęła w zielonym trawiastym gąszczy, Papuszka przywołał swoje motyle.

„Słuchamy cię, paniczu” - zaszumiały.

- Polećcie za nim i nakarmcie jego duszę radosnymi myślami, bo warto. I tchnijcie w jego uszy trochę muzyki. Inaczej przepłoszy wszystkie stworzenia w naszym lesie!

Kiedy ci każą żyć bezpiecznie,

W pas się kłaniać raz po raz,

To na szlaki ruszaj leśne,

Drogi szukaj w świetle gwiazd!

Gdy już masz bambosze w ciapki,

A dom otoczony murem,

Pakuj, bracie, swe manatki,

Zmykaj, hen, za siódmą górę!

BITWA W DOLINIE KURZYMISIÓW

Rycerz Darlan jechał spokojnie po górskiej drodze oświetlanej jasnymi promieniami słońca.

U jego boku pobrzękiwał miecz, do siodła przytroczona była tarcza i sajdak z łukiem, w sakwach - zapas żywności. Jeździec nie miał się więc czym przejmować, chyba tylko tym, że brakuje mu przygód. Darlan był bowiem błędnym rycerzem, podróżującym w poszukiwaniu sławy i dobrych uczynków do spełnienia (szczerze mówiąc, wołał sławę niż spełnianie dobrych uczynków, a najchętniej to połączyłby jedno z drugim). Jednak od dłuższego czasu nic ciekawego mu się nie przydarzyło - jechał wszak przez krainę rządzoną przez mądrego króla Dęboroga. Ludzie żyli tu dostatnio, trolli nie było, rusalki bez żadnych kłopotów mogły tańczyć przy leśnych strumieniach. Darlanowi nawet się podobało to, że wszędzie witają go uśmiechnięci ludzie, a na polach żółci się zboże nietknięte przez rozbójników i potwory. Ale - jak rzekliśmy - Darlan ruszył w świat, poszukując przygód, i spokój wkrótce zaczął go nudzić. Jakiś czas temu skręcił więc ku górcom ciągnącym się wzdłuż wschodniej granicy Dęborogowych włości. Tam bowiem, wedle opowieści, wciąż mieszkały dziwne, a często i złe stworzenia. W ostatniej osadzie na podgórzu Darlan uzupełnił zapasy, dokupił strzał do łuku, nakarmił biegacza najprzedniejszymi śliwkami (bo biegacze niezwykle lubią śliwki), a potem ruszył na wschód. Już drugi dzień włókł się starym traktem, którym ponoć kiedyś jeździli kupcy. A że monotonna droga znużyła go nieco, zaczął sobie podśpiewywać:

Lepsza droga od pierzyny.

Od widelca lepszy miecz,

Lepszy śmiech od smutnej miny,

A od braku rzeczy - rzecz!

Lepiej śmiać się, niż narzekać,

Lepsze gruszki dwie niż jedna,

Od grabarza lepszy piekarz,

Od księżniczki zaś - królewna!

Lepiej wygrać, niżli przegrać,

Lepiej śpiewać, niżli chrapać,

Grać na flecie niż na nerwach,

Złapać - niżli dać się złapać!

- I czego wyje, no czego? - ochryply i mocny głos zadudnił między drzewami, płosząc ptaki i Darlanowego biegacza. Wierzchowiec parsknął przestraszony, łypnął na swego właściciela zdziwionym wzrokiem. Darlan uspokoił biegacza, wyciągnął miecz i z uwagą wpatrywał się w zarośla.

- A po co mu żelaziwo? - znowu zadudniło, ale w głosie jakby pobrzmiwał strach. - Bez żelaziwa nie może, co?

- Może - powiedział Darlan, uspokajając się. - Wyłaź!

- A żelaziwa na pewno nie wyjmie, co? - upewnił się dudniący głos.

- Jak będziesz grzeczny, to nie.

- No to wyjdę.

Krzaki zaszeleściły, Darlan omal nie parsknął śmiechem. Oczekiwał leśnego olbrzyma albo niedźwiedzioczęłka, i ogromnego wzrostu i tuszy. Tymczasem zza krzaków wylaźł gnom sięgający rycerzowi ledwie do pasa. Ubrany był w stary, ale starannie pocerowany i pozszywany kaftan za kolana, słomiane buty i zieloną czapkę opadającą na oczy. Miał też pomalowaną na zielono i pozapłataną w warkoczyki brodę.

- Czego się śmieje? - fuknął gniewnie. - Co ja, cudak

- Przepraszam, przepraszam - opanował się rycerz. - Nazywam się Darlan. Poszukuję przygód.

- Przygód? Ha! - zdumiał się gnom. - A po co to przygód szukać? Mało to ich samych do

człowieka co dzień przychodzi? A to deszcz zboże wytłucze, a to niedźwiedź miód z barci wyżre, a to się z koleżkami polityczna kłótnia nawinie. Mało to?!

- Grzeczniej, mój panie, byłoby się przedstawić, a nie rad udzielać - zwrócił mu uwagę Darlan.

- Eee... - stropił się gnom. - Eee... jestem Męczydusz, gnom leśny. A niegrzeczny jestem zawsze, bo... - zawiesił głos, szukając odpowiedniego określenia - mam trudny charakter. I już się nie zmienię, bo jestem za stary.

- I zawsze mówisz tak głośno? - spytał Darlan.

- Eee... tego... tak naprawdę to wszystko przez ten głos. Jak z kim zacznę rozmawiać, to on od razu myśli, że na niego krzyczę i że jestem źle wychowany. Nawet jak się kiedyś starałem być miły i słodziutki - tu złożył wargi w dziobek - taki tiu, tiu, tiu, elegancik, to i tak wszyscy myśleli, że na nich wrzeszczę. W końcu przestałem się przejmować i teraz krzyczę od razu.

- Gdybyś jednak mógł mówić troszkę ciszej - poprosił Darlan uprzejmie - to byłbym wdzięczny, bo płoszysz mojego biegacza.

- Czemu nie, czemu nie - gnom pokiwał głową. - A dokąd jedziesz, rycerzu?

- Nie mam celu podróży. Szukam potworów do zabicia, pięknych panien do uwolnienia i świętych mieczy do odnalezienia. A w wolnych chwilach uprawiam turystykę zagraniczną.

- I naprawdę jesteś odważny, prawy, gotów do poświęceń i nie za bardzo chciwy?

- Co to znaczy: chciwy?! - obruszył się Darlan. - Czyżbyś nie wiedział, że my, błędni rycerze, robimy wszystko dla sławy oraz dla symbolicznej opłaty ustalanej w wyniku negocjacji?

- Słyszałem, słyszałem - pokiwał głową gnom. - Ale nie zaszkodzi się upewnić, prawda?

- A czemu cię nagle zaczęły obchodzić moje dobre uczynki?

- Eee... bo widzisz, rycerzu, miałbym ja dla ciebie robotę. Taką, jaką lubisz: niebezpieczną i ciekawą. Aha, no i prawie bez żadnego honorarium. Masz chęć?

- Ja? - oczy Darlana zaśniły. Spojrzał na swojego biegacza. Dzielny rumak zdecydowanie pokręcił głową i zastrzygł uszami. - Ja bym chciał, ale mój biegacz boi się twojego głosu...

- Mojego głosu?! - ryknął zaskoczony gnom, znów wzbudzając trwogę w sercu biednego biegacza. - Eee... to ja zaraz... - sięgnął za pazuchę, wyjął jakąś brązową, brunatną bryłkę. Podszedł do wierzchowca. Zwierzę kwiknęło, gdy chwycił je za uzdę. Nagle coś poczuło. Wyciągnęło pysk, obwąchując Męczydusza, po czym z jego otwartej dłoni ściągnęło brązową bryłkę.

- To miód leśny - powiedział szeptem gnom, gładząc jedwabiste futro na pysku biegacza. - To co, już my przyjaciele?

Biegacz pokiwał głową, oblizując się radośnie.

- No, to idziemy - zdecydował Darlan.

- Równiny to równiny, a góry to góry - powiedział gnom. - Tam ciepło, tu zimno. Tam ziemia urodzajna, tu gołe szczyty. Tam spokój, tu pełno złych stworzeń. Ludzie do nas rzadko zaglądną, bo i po co mają tu przyłązić. A powinni uważać, bo już niedługo w podgórskich jaskiniach coś złego się wylęgnie. Słowo gnoma!

- Opowiadaj wreszcie, jakie to zadanie - przerwał te wywody zaciekawiony w najwyższym stopniu Darlan.

- Więc tak - gnom podrapał się w głowę, rozważając, od czego zacząć opowieść. - W jednej z górskich dolin stoi osada kurzymisiów. To stare plemię, ale bardzo dziś nieliczne. Żyją w małych osiedlach, zwykle w bliskiej okolicy swych starych miast. Bo kiedyś, przed Wojnami Gór, kurzymisie zamieszkiwały całe krainy. A nie wiesz ty, rycerzu, co to były za straszne wojny! Wszak góry wtedy przemieniły się w olbrzymów, by walczyć ze sobą. Cóż wobec nich znaczyli ludzie, gnomy czy też kurzymisie! Podgórskie miasta popadły w ruinę, mieszkańcy zniknęli. Tylko gdzieś tam ocalały małe grupy kurzymisiów. W naszych górach, pół dnia drogi stąd - nie na trakcie, ale głęboko w górach - leży ich wioska. Przyjaźnię się z nimi i handluję. Dostarczam im leśne owoce, grzyby, zioła, a one dają mi miód. Bo trzeba ci wiedzieć, że kurzymisie jedzą głównie miód, a piją tylko soki owocowe i pszczele mleczko. Nasze życie toczyło się pięknie - ale wszystko ma swój kres. Będzie ze trzy lata, jak w okolicy pojawiła się para złysepów.

- Ohyda - mruknął Darlan, który kiedyś widział złysepą: paskudne, łyse ptaszysko z błoniastymi skrzydłami, krzywym dziobem i łapami podobnymi do ludzkich dłoni.

- A jakże, ohyda - gnom splunął przez ramię. - Nie dość na tym. Złysepy zbudowały gniazdo, i to na skale tak wysokiej, że nijak się tam nie wejdzie. Złożyły jaja i odleciały, jak to mają w zwyczaju, wyrodni rodzice. Przez pół roku nic się nie działo, aż nagle drzewa w lesie zaczęły umierać. Ktoś zdierał im korę i dziurawił pnie. A potem zaczęliśmy znajdować poranione, schwytane w sidła i nieżywe zwierzęta. I wtedy się domyśliliśmy. Z jaj złysepów wykluły się szwindlaki. Okrutne, przebiegłe i coraz silniejsze... Jest ich wiele - może piętnaście, może dwadzieścia. Tydzień temu jeden pojawił się na obrzeżu wioski kurzymisiów. Najpierw wszystkim zwymyślał, a potem zagroził, że szwindlaki za miesiąc przyjdą do wioski, a ich szef zostanie królem. I że kurzymisie mają uznać ich władzę, bo inaczej będzie źle. Tak dokładnie powiedział: „Będzie źle!”.

- To bandyta - Darlan zacisnął pięść. - Już ja mu...

- Kurzymisie - opowiadał dalej gnom - same się nie obronią. Wysłały więc mnie na niziny, do ludzi, żebym wezwał pomoc. Ale kto was tam wie, ludzie, co zrobicie? Kurzymisie trochę się was boją, bo pamiętają czasy po Wojnie Gór, kiedy to nie byliście dla nich zbyt mili.

- Nie byłem, nie widziałem - zaprotestował Darlan. - Ja pomogę kurzymisiom. Wspólnie załatwimy te paskudne szwindlaki!

Miasteczko kurzymisiów leżało w pięknej kotlinie. Od zachodu i północy otaczały je skalne stoki, od wschodu i południa gęsty las. Zachodnią ścianę przykrywał kilim wodospadu - woda spływająca z wyższych partii gór szumiała i perliła się na skalnych załamach. Całą dolinę przecinał powstały z wodospadu strumyk, przez który przerzucono dwie kładki. Darlan od razu zwrócił na nie uwagę. Jeden mostek zbudowano niedawno z sosnowych, okorowanych bali. Za to drugi musiał być bardzo stary. Stary, ale solidny. Kamiennymi przesłami mocno wczepił się w brzegi strumienia, wyłożono go granitowymi płytami, ozdobiono licznymi płaskorzeźbami. Wszystko to było zniszczone, spękane, porośnięte mchem, ale świadczyło o wielkim kamieniarskim kunszcie kurzymisiowych przodków.

Podobne wrażenie wywarła na Darlanie sama wioska. Drewniane domki o słomianych dachach stały tam obok wyszczerbionych i zniszczonych kamiennych pałacyków, gdzieś widać było porośnięte chaszczami ruiny. Na spotkanie z przybyszami wylegli chyba wszyscy mieszkańcy osady. Darlan z ciekawością przyglądał się kurzymisiom. Czytał kiedyś o tym narodzie w starej księdze, ale jego żywych przedstawicieli widział po raz pierwszy. Kurzymisie były niskie, pękate, o włosach poupinanych w najdziwaczniejsze fryzury i krótkim, połyskliwym futerku porastającym całe ciało. Wszyscy - kobiety i mężczyźni nosili długie fartuchy. Wiek kurzymisia rozpoznawało się (jak wcześniej poinformował Darlana gnom) po liczbie medali przypiętych do piersi. Medale przyznawała Rada Kurzymisiów Starszych i w Średnim Wiek, która zbierała się raz na pół roku, by rozsądzać spory i nagradzać dobre uczynki. Kurzymisie uwielbiały wręczać sobie medale - a to za największego pstrąga złapanego w strumieniu, a to za osiągnięcia w tresurze pszczoł albo za najdłuższy zjazd saneczkowy (saneczkarstwo uprawiali pasjami).

Przybyszów otaczała coraz większa ciżba, w końcu gnom nie wytrzymał i huknął swoim grubym głosem:

- Z drogi! Idziemy do Najstarszego Wuja Kurzymisiów! Z drogi! Oto prowadzę wam obrońcę, dzielnego i szlachetnego, sławnego i skromnego, bogatego duchem i biednego mamoną, pogromcę smoków i nietoperzy! Prawdziwego rycerza!

Tłumek się rozstąpił, ale gwar podniósł się jeszcze większy.

Wielki Wuj (tytuł honorowy - wytłumaczył gnom - przyznawany za mądrość, doświadczenie i liczbę medali) czekał przy stojącej w środku osady studni. Był malutki, tłuściutki, nosił wielkie okulary, a włosy na głowie sterczały mu na wszystkie strony. Jednak musiał być bardzo dostojny, bo obok niego stał młody kurzymiś dźwigający ogromną płachtę, do której przyszyto wszystkie medale Wuja.

- Witam cię, przybyszu... - powiedział Wuj, zawieszając głos.

- Darlanie - uzupełnił rycerz, zeskakując z biegacza. - Witaj, czcigodny Wuju!

- Czy naprawdę chcesz nas bronić przed paskudnymi szwindlakami?

- Bronić? Ja? Na pewno nie - powiedział Darlan. Jęk zawodu przepłynął przez tłum, a gnom

spojrzał na rycerza zdziwionym wzrokiem. - Nie bronić! Ja zamierzam atakować!

- Hurra! Hurra! - zakrzyknęli zgromadzeni. Zafrasowana twarz Wuja rozpogodziła się, a gnom odetchnął z ulgą.

- Słuchajcie, kurzymisie, słuchajcie! - zawołał Wuj. - To niezwykle pomyslna nowina! Dlatego wieczorem odbędzie się uczta z tańcami!

- Hurra! - znów podniósł się wrzask, ale Wuj zgasił go jednym gestem ręki. - Naszemu przyjacielowi Męczyduszowi za sprowadzenie tak wspaniałego gościa przyznajemy medal. A rycerzowi drugi. To na dobry początek. No, młodzieży, szykować stoły! Ma być mnóstwo miodu, soków i jagód!

Pierwsze spotkanie ze szwindlakiem nastąpiło już nazajutrz.

Darlan wybrał się na obchód okolicy. Chciał zobaczyć jagodowe pola kurzymisiów, sprawdzić ścieżki, przyjrzeć się lasowi. Szybko też natrafił na efekty działalności szwindlaków. Na korze drzew powycinano dziwne rysunki i napisy, z ziemi sterczały suche kikuty zatrutych krzewów, a w wielu miejscach trawa była martwa i biała. Darlan w milczeniu obserwował te znaki, a zmysły podpowiadały mu, że to nie jedyne ślady potworów. Las był dziwnie cichy, jakby drzewa bały się szumieć w normalnym rytmie, a ptaki śpiewać. Zwierzęta, które zauważył - wiewiórka, jeż, mały lisek - wcale przed nim nie umykały. Jakby czuły, że w jego, człowieka, obecności są bezpieczniejsze.

„Do stu powodzi! - Darlan podrapał się w brodę. - A więc gnom nie przesadzał. Mamy do czynienia ze sporą bandą”.

- Będzie źle! Będzie źle! - usłyszał za sobą przeraźliwy chichot. Odruchowo skoczył w bok. Dobrze zrobił, bo potężny kamień przemknął tuż koło jego głowy. Darlan wyciągnął miecz. Naprzeciwko niego stał szwindlak. Był to przeciętny okaz - ani szczególnie duży, ani szczególnie paskudny. Z beczkowatego tułowia wyrastała głowa pokryta czarną szczeciną. Purchlowaty nos przysłaniał nieco gębę, ale i tak widać było, że szwindlakowi brakuje połowy zębów. Miał cztery ręce, pokryty łuską brzuch i włochate nogi zakończone chwytymi stopami.

- Jestem szwindlak - powiedział stwór niespodziewanie grzecznie. Lecz zaraz dodał: - Głodny szwindlak!

- A ja jestem Darlan! - powiedział rycerz. - I też jestem głodny.

- Ha - szwindlak poklepał się po brzuchu. - Ale ja ciebie zjem, a ty mnie nawet nie tkniesz.

- A to czemu? - zdziwił się rycerz.

- Bo się nie myłem od sześciu miesięcy! To znaczy od urodzenia - stwór najwyraźniej się ucieszył, przypomniawszy sobie ten miły fakt. - Czy chciałbyś zjeść brudnego szwindlaka?

- A żył kiedykolwiek czysty szwindlak? - Darlan pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Żył - potwierdził potwór. - Ale krótko. Bośmy go zjedli, he, he... No dobra, dość tych pogaduszek. Wolisz, żebym cię upiekł czy ugotował?

- Zdziwisz się, chłopie - powiedział Darlan i błyskawicznym ruchem sięgnął do kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej mały, obły przedmiot i cisnął w zbliżającego się potwora. Trafił. Szwindlak zamarł w bezruchu, a potem krzyknął rozpaczliwie i... zniknął. Tylko przez chwilę w powietrzu unosiła się chmura ciemnego pyłu.

- Działa - szepnął Darlan, ucieszony, ale i zdziwiony. Podniósł z ziemi swój pocisk. - Proszę bardzo, działa!

Tego samego wieczora Darlan spacerował w towarzystwie gnoma i Wuja (oraz kurzymisia noszącego medale Wuja).

- To bardzo kosztowny magiczny przedmiot - tłumaczył rycerz. - Niewielu alchemików i czarodziei umie takie sporządzać. Powiem wam w tajemnicy, jak się nazywa. Ale na wypadek działalności wrogich agentów będziemy na niego mówić „MiM”.

- „MiM”? - zdziwił się Wuj. - Cóż to za nazwa dla potężnego czarodziejskiego przedmiotu? Magiczny przedmiot powinien się nazywać... Diadem Karmazynowego Smoka albo Włócznia Thana Etana, albo choćby Pumpy Przyzwania. Ale MiM? A cóż to znaczy?

Darlan pochylił się, tak że jego usta znalazły się tuż obok twarzy gnoma i kurzymisia. Szepnął:

- Magiczne Mydło! Wynalezione przez słynnego alchemika Marcynnakusa. Likwiduje wiele rodzajów złych istot.

- Ale jak to działa? - zaciekał się gnom.

- Nikt nie wie, jak to działa, bo Marcynnakus tajemnicę produkcji zabrał w zaświaty. Chodzi chyba o chemię, wiecie: kwasy, zasady, brak zasad... MiM oczyszcza dusze z brudu. A ponieważ dusze szwindlaków składają się wyłącznie z kurzu, pleśni i śladów tłuszczu, to po wyczyszczeniu nie zostaje nic. Szwindlak znika.

- Bardzo zajmujące, bardzo... - pokiwał głową Wuj. - Czy jednak wyobrażasz sobie, co się stanie, gdy do naszej wioski przyjdzie dwadzieścia szwindlaków? Trafisz tym pociskiem jednego czy dwa, a reszta zburzy nasze domy, a nas wytarza w musztardzie i zakuje w dyby. Ciebie z resztą też.

- Po pierwsze, nie mów „pociskiem”, tylko „MiMemem” - poprawił go rycerz. - A po drugie, nie desperuj. Coś się wymyśli.

- Właśnie - powiedział gnom, w zadumie drapiąc się po czuprynie.

Drugie spotkanie ze szwindlakami nie zakończyło się tak dobrze jak pierwsze. Co więcej, można śmiało powiedzieć, że także gorzej się zaczęło.

- Trzymam! - coś krzyknęło nad uchem Darlana. Jednocześnie rycerz poczuł, jak wielkie łapsko chwyta go za głowę i podnosi z ziemi.

To „coś” okazało się całkiem dojrzałym szwindlakiem. Twarz rycerza znalazła się naprzeciw pryszczatego pyska potwora. Szwindlak miał brudną, pociętą szramami gębę, porozbijane wargi, a jego brudne zęby przypominały wyszczerbiony, kamienny płot. Po chwili Darlan usłyszał posapywanie i z krzaków wylazły dwa inne szwindlaki.

- Jakiś nowy cwaniaczek - zaślurgotał ten, który ucapił rycerza. Potrząsnął łapą, majtając biednym Darlanem na wszystkie strony. - Coś ty za jeden?

- Ry... ycerz - zdołał wyjęczeć Darlan.

- Ryyycerz - nerwowo zachichotał drugi szwindlak. - Znam ja ich, rycerzy. Nie ma z nich żadnego pożytku. Nie rabują biednych, nie palą wiosek i nie jedzą małych dzieci!

- Tfu! - podsumował drugi szwindlak.

- A czemu to to łązi w blaszanym kubraku? - spytał trzeci, stukając paluchem w Darlanową zbroję.

- Przeciw wrogom - wyjaśnił bywały szwindlak, dumny, że wie więcej od kompanów. - Trudniej go zjeść, więc nawet po przegranej walce ma czas na kombinowanie i obmyślanie ucieczki. Ale ja nie dam mu tej szansy. Na wszelki wypadek odgryzę mu głowę.

- Lubię ją - Darlan włączył się do pogawędki. - Jestem z nią nierozzerwalnie związany. Może podyskutujemy o różnicach w naszych poglądach?

- Dyku... co? O wielbłądach? - nie dosłyszały szwindlaki. W tym samym momencie Darlan wierzgnął nogami, trafiając swego dręczyciela w sam czubek płaskiego nosa. Szwindlak ryknął z bólu. Chwycił się za nochal, puszczając Darlana. Rycerz tylko na to czekał. W trzech susach wskoczył między drzewa. Biegł przed siebie, nie zważając na gałęzie boleśnie tłukące go po twarzy, wsłuchany jedynie w głosy nawołujących się szwindlaków. W końcu jednak stwory straciły trop - ich okrzyki zaczęły się oddalać. Lecz Darlan nie zwolnił. Biegł ile sił w nogach, dopóki nie zobaczył pierwszego mostka w kurzymisiowej dolinie.

- Nie sprostamy im w walce wręcz - ponuro oświadczył Wuj - skoro nawet ty, szlachetny rycerzu, podałeś tyły, że tak powiem.

Siedzieli w małym pokoiku w domu Wuja. Był to stary budynek, postawiony jeszcze przed Wojną Gór. Kamienne ściany były szare i chłodne, na półkach stały pięknie malowane kubki na miód, a w

jednym z kątów - zdobiony kufer.

- Mamy przecież... - gnom starał się szeptać, co niespecjalnie mu wychodziło. Rozejrzył się wokół, jakby chciał sprawdzić, czy w izbie nie ma nikogo podejrzanego - Mamy naszą broń: MiM.

- Jedną sztukę - głos Wuja stał się bardzo ponury. - To za mało.

- A gdyby tak - oczy gnoma zaślniły - zastosować manewr okrążający?

- Bez wątplenia to właśnie trzeba będzie zrobić - powiedział Darlan. - To prawda, że mamy tylko jedno MiM. Ale jest sposób na to, by rozmnożyć jego magiczną moc.

- Jaki?! - krzyknęli jednocześnie Wuj i gnom. Dwa garnki spadły z wiszącej na ścianie półeczki i roztrzaskały się na podłodze. Wuj spojrzał groźnie na Meczydusza.

- Przystaniesz ty wrzeszczeć, gnomie? Dom mi zdemolujesz!

- Zaraz posprzątam... zaraz posprzątam... - Meczydusz poderwał się od stołu, żeby pozbierać skorupy. Niestety, w pośpiechu potracił blat. Stojący przed Wujem kubek przewrócił się i mleko chlusnęło na czcigodnego starca. Gnom zaczerwienił się, usiłował wybelkotać jakieś przeprosiny, w końcu wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i zaczął nią szorować blat stołu. Kiedy chciał zetrzeć mleko z koszuli Wuja, ten niespodziewanie spokojnie odwrócił się do Darlana i powiedział:

- Rycerzu, zanim zaczniesz chronić nas przed szwindlakami, czy mógłbyś ochronić mnie przed tym niezgrabiaszem? A chustki do nosa - zwrócił się do gnoma - pierze się przynajmniej raz do roku.

- Czy mógłbym coś jeszcze powiedzieć? - spytał Darlan, gdy Meczydusz już wytarł blat i pozbierał skorupy.

- Ależ oczywiście, czcigodny rycerzu - Wuj na powrót stał się najbardziej opanowanym kurzymisiem na świecie.

- Jest sposób na pokonanie szwindlaków. Musimy obwarować wioskę. Zastawić sprytne pułapki. Nauczyć najsilniejszych kurzymisiów posługiwania się bronią. Ale przede wszystkim przygotować jak najwięcej szczelnych balii. Potrzebuję też kilkadziesiąt słomek.

Przygotowania do obrony rozpoczęły się rankiem następnego dnia. Kurzyrnisie przystąpiły do kopania dołu, który miał całą kotlinkę odciąć od świata. Wielki Wuj wyprawił się do lasu, by pogadać z opiekuńczymi duszkami i ustalić, które drzewa można ściąć na palisadę. Powrócił szybko, przynosząc nowe straszne wiadomości. Mieszkańcy lasu byli przerażeni tym, co szwindlaki wyczyniają w lesie. Wiele drzew umarło i po lesie błąkało się mnóstwo bezdomnych duszków. Nie było więc łatwo wytargować od Kongresu Duszków i Rusalek zgodę na ścięcie jeszcze kilkunastu pni. Kiedy jednak kurzymisie opisały, po co im drewno, Kongres wydał odpowiednie zezwolenia (na piśmie, w sześciu egzemplarzach opatrzonych mnóstwem podpisów i pieczęci). Ustalono też, że duszki zamieszkujące wyznaczone do wyrębu drzewa przeniosą się do budowanego właśnie

ostrokołu po to, by wzmocnić go swą magią. To było prawdziwe poświęcenie. Leśne duszki mieszkają w żywych drzewach, kazać im zająć martwy pień, to tak jakby umieścić człowieka w ciemnej i wilgotnej piwnicy. Jednak Kongres uznał, że szwindlaki stanowią prawdziwe zagrożenie dla puszczy. Tak więc najpotężniejsze drzewa i najsilniejsze duszki (tak silne, że niektórzy mówili na nie po prostu „duchy”!) miały stanąć na straży doliny kurzymisiów. Kiedy drwale rąbali drzewa, także wewnątrz palisady trwała gorączkowa praca. Za rowem i częstokołem zbudowano cały tor przeszkód dla szwindlaków. Czego tam nie było - wilcze doły, płoty najeżone sękami, ule z tresowanymi pszczołami, pokrzywowe pola. Wszystkie pułapki miały powstrzymać stado szarżujących szwindlaków i dać obrońcom czas na zastosowanie broni MiM. Pomiedzy zaporami ustawiono piętnaście drewnianych ambon - tak wysokich, że nawet Darlan musiał się na nie wspinać po drabinie. Na tych pomostach mieli czuwać wojownicy kurzymisiów - kurzymandos. Selekcję przeprowadził sam Darlan. Na wieczór zwołał wielkie zebranie, aby wybrać piętnastu śmiałków, od których zależeć miał los kurzymisiowego miasteczka i okolicznego lasu. W czasie zebrania nie obyło się jednak bez wielkiej awantury.

- To ostatni spokojny wieczór - zaczął swa przemowę Darlan.

Zmierzchało, Słońce czerwonym kręgiem kryło się za drzewami, kładąc na las, skały i domy purpurową kołdrę snu. W dali pluskał rwący potok, nawet drzewa znowu zaczęły szumieć, a ptaki cicho śpiewać. Gdyby nie czarne cienie wież i ciemna krecha palisady przegradzającej na pół dolinę, gdyby nie skupione twarze otaczających rycerza kurzymisiów, gdyby nie gniewne fukanie uzbrojonego po zęby Męczydusza - można by pomyśleć, że oto nadchodzi kolejny, spokojny leśny wieczór, że kurzymisie po prostu zbierają się na zwykłą miodowo-jagodową ucztę. Ale tak nie było.

Wszyscy mieszkańcy osady, z wyjątkiem pełniących straż wartowników, zebrali się wokół Darlana. Obok rycerza stał Wielki Wuj i dźwigacz jego medali, za nimi gnom Męczydusz. Rozpalono ognisko. Żółte płomienie odbijały się w zbroi rycerza, blask pełgał po jego kolczudze, hełmie i mieczu. Darlan podkręcił węża i powiedział:

- Jutro szwindlaki zaatakują. Wszyscy musimy stanąć do walki. Plan jest prosty. Pozwolimy szwindlakom wdrzeć się na ostrokół. Następnie zwiążemy je walką na torze przeszkód, pomiędzy wieżami, tak by nie mogły szybko się wycofać. A wtedy wszystko zależeć będzie od kurzymandosów czuwających na wieżach.

- Będziemy dzielni - z tłumu wystąpił Jerzdna, najsilniejszy kurzymiś w wiosce, który na dodatek świetnie grał w piłkę nożna. - Powiedz tylko, co mamy robić? Czy mamy z tych wież przeprowadzić na głowy szwindlaków desant na spadochronach?

- Na spado... - Darlan aż zaniemówił z wrażenia. - Nie, Jerzdno, nie. Akurat ciebie potrzebuję na dole. Najpierw, żebyś wniósł na każdą wieżę balię i napełnił ją wodą. A w czasie bitwy, abys poprowadził obrońców. Na wieżach staną wasi najlepsi śpiewacy.

Kurzymisie zaszemrały.

- Balie? Śpiewacy? Cóż to za pomysły?! - podnosiły się coraz głośniejsze głosy. - Co ty, rycerzu? W głowie ci się poplątało?!

- Cisza! - niespodziewanie krzyknął Wielki Wuj. - Cisza! Wstydźcie się, kurzymisie, wstydźcie! Ten oto rycerz, choć nie ma zbyt wielu medali, opracował plan ratunku. A wy tak mu się odplacacie?!

- Wybacz, Wielki Wuju - w imieniu kurzymisiów przemówił Jerzdna. - Ale ty wiesz przecież, że w naszym zespole reprezentacyjnym, choć pięknie śpiewa, zebrali się sami słabeusze. Spójrz na nich, rycerzu!

Z tłumu wychodzili członkowie miasteczkowego chóru, kilkanaście kurzymisiów, rzeczywiście raczej niewielkiego wzrostu.

- To mają być kurzymandosi?! - spytał Jerzdna.

- Dobrze mówi! - dodał ktoś z tłumu. - Może już się lepiej tym szwindlakom poddać. Domów nam nie zburzą, pól nie zdeptają, pszczoł nie wystraszą, bo gdzie by mieszkali i co jedli? A teraz co? Bitwa, zniszczenie, a i tak dadzą nam łupnia!

Wielki Wuj aż zatrząśił się ze złości.

- Och wy, zakało kurzymisiowego rodu, tchórzliwsi od zajęcy i głupszy niż kurczaki (z całym szacunkiem dla kurczaków)! Wstydzę się za was. Poddać się?! Ohydny i zły szwindlakom?! Żeby wami rządziły? Żeby zajęli wasze domy?

- Lepiej mieć współlokatora, niż stracić dach nad głową - zaprotestował któryś kurzymiś, Darlan wyraźnie usłyszał, że część zebranych pomrukuje na znak, że się z nim zgadza.

- Nigdy! - krzyknął Wielki Wuj. Kiwnął na swego młodego pomocnika, który pomachał płachtą i podźwiewał medalami, dając wszystkim do zrozumienia, że Wuj jest bardzo zły.

- Tam, na górze - Wuj odwrócił się, wskazując skalną ścianę czerniejącą za jego plecami - stoi Dom Bramy Przodków. Każdy z was był tam wielokrotnie. Na ścianach wymalowane są obrazy przedstawiające Krainę Wielkich Jagód. Kiedy stary kurzymiś czuje, że zbliża się jego czas, idzie do tego domu. Odprowadzamy go pod drzwi, śpiewając wesołe piosenki. On wchodzi do środka, a my po chwili za nim. Lecz jego już tam nie ma, bo szczęśliwie przeniósł się do Krainy Wielkich Jagód. Jego wizerunek pojawia się na jednej ze ścian. Przecież wiecie o tym. To ostatni Dom Bramy Przodków po tej stronie gór. To do nas przybywają samotne kurzymisie, żyjące w dalekich krainach. I co, chcecie oddać to miejsce w łapy szwindlaków? Pozwolić, by ich plugawe cielska i czary panoszyły się w naszej świątyni?! Wasi dziadowie i ojcowie patrzą na wasze czyny, słuchają waszych słów. To oni wybudowali domy, w których mieszkacie, oswoili roje pszczoł, które dają wam miód, ułożyli piosenki, które śpiewacie przy ogniskach. Ja, Wielki Wuj kurzymisiów, strażnik ostatniej Bramy Przodków, będę jej bronił do ostatka. Choćbym miał zostać sam!

- Nie będziesz sam - powiedział Darlan, uderzając się w pierś zaciśniętą pięścią.

- Ho, ho, na pewno nie - huknął gnom Męczydusz, stając po drugiej stronie Wujka. Zapadła cisza.

- Wybacz, czcigodny - Jerzdna pochylił głowę. - Wybacz, że się zawahałem. Jestem ci posłuszny. I tobie, szlachetny Darlanie. Ty też wybacz i powiedz, co mamy robić.

- Niech śpiewacy wejdą na wieże - Darlan postanowił zakończyć tę naradę. - Kobiety niech grzeją wodę i szykują słomki, A ty, dzielny Jerzdno, szykuj swoich żołnierzy. Na jutro rano potrzeba nam bardzo wielu odważnych kurzymisiów.

Rano wszystko było gotowe. Zmęczeni obrońcy czekali. Jeszcze przed świtem leśne duszki wysłały do miasteczka ǫmę pocztową. Liczna grupa szwindlaków (dokładna liczba nie była znana, bo duszki leśne, choć mądre i znające magię, umieją liczyć tylko do siedmiu i pół) zmierzała ku kotlinie, łamiąc i niszcząc wszystko po drodze. Wkrótce broniące palisady duszki usłyszały trwożną pieśń lasu.

- Szybko! Woda do balii! - zakrzyknął Darlan. Grupa najsilniejszych kurzymisiów na chwilę odłożyła oręż. Znad kilku ognisk zdjęto kotły z parującą wodą. Kurzymisie nabierały ją w wielkie dzbany, wdrapywały się na wieże i wylewały wrzątek do stojących tam drewnianych balii. Potem wracały na dół, chwytając w garście swoją broń - ciężkie kijaszki, maczugi oraz gwizdki zapachowe do kierowania pszczołami.

Wieże kontrolował sam Darlan. Każdemu z czekających tam śpiewaków ostrożnie wręczył cząstkę MiM, dużą chochlę do mieszania i specjalnie spreparowaną słomkę z pszenicznej łądygi. Następnie kazał uzbrojonym kurzymandosom wycofać się poza linię pułapek, a sam jeden podszedł do ostrokołu.

„Idą... idąąą...” - usłyszał w myślach zaniepokojony szept duszków.

- Czuję - mruknął. Bo rzeczywiście, wiatr nagle powiał od strony lasu ku kotlinie. Przyniósł ohydny woń szwindlaków, w której mieszał się odór nienawiści i niedomytych zębów. Szwindlaki nadchodziły.

Po chwili stanęły na skraju lasu bezładną gromadą. Darlan naliczył ich trzynaście. Różniły się wzrostem, liczbą posiadanych zębów i umaszczeniem. Wszystkie jednak wyglądały jednakowo paskudnie. Parchate, wyszczerzone, ze śliną spływającą z żółtych zębów, groźnie toczące zaćmionymi oczyma. W łapach ścisnęły sękaty maczugi i wielkie toporzyska. Niektóre miały kije z przywiązanymi do końców czaszkami wilków.

- Patrzcie no, braciszku - ryknął największy z nich, chyba herszt. - Jaki to sobie kudlacze zbudowały zamek He, he... pewnie im pomagał ten wychudzony rycerzyna... Jak raz w ten płot huknę... To co?! - zwrócił się do kompanów.

- To się nogami nakryje! - odpowiedzieli chórem.

- Tak jest! - wrzasnął uradowany herszt. - Za mną, kamraci!

Ruszyli. Biegli mocno pochyleni do przodu, często podpierając się dwiema rękami. Darlan zdawał sobie sprawę, że gdyby nie magia leśnych duszków, zmiotliby ostrokół w jednej chwili.

- Pozwólcie im zrobić jeden mały wyłom - powiedział Darlan do duszków. - Tak, żeby wszystkie szwindlaki wlały jedną dziurę.

„Rozuuuumiemy... - zaszemrało mu w głowie. - Wpuścimy ich tędyyyy...”.

Darlan zobaczył, że kilka drewnianych bali w samym środku ostrokołu zmienia kolor z brązowego na szary. To duszki spopieliły drewno od środka, żeby szwindlaki mogły wyłamać dziurę. Rycerz nie miał zbyt wiele czasu na podziwianie tego zjawiska. Zajął miejsce w szeregu szykujących się do walki kurzymisiów.

Stało się tak, jak przewidziały duszki. Choć w zaporę niemal jednocześnie walnęło kilka szwindlaków, choć przeszkoda się zatrzęsała, a powietrze przeszył pisk naprężających magiczne osłony duszków, to ostrokół pękł tylko w jednym miejscu. Przez tę dziurę do kotlinki wtoczył się pierwszy szwindlak. Chwilę potem zaczęły wyłazić następne. Zobaczyły obrońców i zastawione na siebie pułapki.

- He, he - znów krzyknął herszt - zabawimy się, chłopaki! Jakem Hwrgrr! Na nich!

Skacząc niby sześciorekie małpy, wrzeszcząc i plując, szwindlaki ruszyły na kurzymisiów. Większość zręcznie omijała lub przeskakiwała zastawione przeszkody. Tylko jeden wpadł do zamaskowanego dołu, z którego zresztą zaraz zaczął się gramolić. Zagrały flety kurzymisiowych pasterzy pszczół. Owady-wojownicy, bucząc i hucząc, rzuciły się na najeźdźców. Ale szwindlakowa skóra jest gruba niczym pancerz. Nawet najdzielniejsze pszczoły, te z najdłuższymi żądlami, nie zdołały jej przebić. Szarżujące szwindlaki zmrużyły oczy, zwinęły uszy i wciągnęły nosy - widocznie to były ich czułe miejsca. Tylko jeden nie zdążył i dopadła go jakaś dzielna pszczoła. Nagle stanął, zamachał łapami i z rykiem straszliwego bólu rzucił się na ziemię.

- Odgryzła mi nos! Odgryzła mi nos! - krzyczał, ale mylił się. Jego nos wcale nie stał się mniejszy, wręcz przeciwnie: zaczął rosnąć i puchnąć. Po chwili przypominał już wielki balon zasłaniający pół pyska i przeszkadzający w walce. Jednak pozostałe szwindlaki przedarły się przez przeszkody i uderzyły na linię kurzymisiów. Były ogromne, większe nawet od Darlana. Ciągnęło od nich wilgocią i złą magią, która dodatkowo osłabiała małe kurzymisie. Rozgorzała straszna walka. Jednego szwindlaka otaczało i dziesięć kurzymisiów próbujących powalić go na ziemię. Za plecami walczących stał Wielki Wuj. Podniósł ręce, mamrotał starodawne zaklęcia, a z jego dłoni tryskały snopy iskier bijących w najgroźniejsze szwindlaki. Wielki Wuj próbował wykorzystać swe czary, by osłabić złą magię sześciolapych stworów.

Tylko Darlan i Męczydusz walczyli z potworami jak równy z równym. Miecz rycerza błyszczał w słońcu, a maczuga gнома zataczała groźne kręgi. Dzielnie też sobie poczynał Jerzdna i jego najbliżsi druhowie. Jakby chcieli zmyć z siebie plamę wczorajszego zawahania - stawali przeciw szwindlakom prawie jak rycerz i gnom. Ale i oni nie dawali rady. Coraz więcej kurzymisiów wycofywało się z pola bitwy ze zmierzwionym futerkiem i łzami w oczach. Coraz częściej z gardeł

potworów wydobywał się ryk tryumfu. Szala zwycięstwa przechylała się na stronę szwindlaków. Darlan uznał, że nadszedł właściwy czas. Przesunął się ku Męczyduszowi.

- Daj znak! - krzyknął do gnoma, przejmując jego przeciwnika.

Męczydusz sapnął, nabrał w płuca powietrza i wrzasnął:

- MiM do akcji! - jego gromki głos wzniósł się ponad tumult bitwy. Na pewno usłyszeli go wszyscy kryjący się dotąd na wieżach śpiewacy. Chwilę trwało, nim ponad ochronnymi barierkami zaczęły pojawiać się ich twarze. W dłoniach trzymali słomiane rurki. Przytknęli je do ust i zaczęli dmuchać.

I oto na końcach rurek zaczęły pojawiać się bańki mydlane. Wielkie, lśniące, pulsujące w podmuchach wiatru, niepewne, czy oderwać się od słomek - w końcu jednak poszybowały ponad głowami walczących. Wojownicy jeszcze ich nie dostrzegli, a śpiewacy już pochylali się nad baliami z gorącą wodą, w której rozpuszczono kawałki Magicznego Mydła, już wydmuchiwali nowe bańki. I następne, i następne. To dlatego Darlan wybrał śpiewaków - potrzebował kurzymisiów o mocnych płucach. Pierwsza bańka, wielki tęczowy balon, rozprysnęła się nad głowami walczących. Jedna z kropli spadła na olbrzymiego szwindlaka gromiącego całe zastępy kurzymisiów.

Pyk!

Wielka maczuga na chwilę zawisała w powietrzu. A potem spadła na ziemię, wzbudzając radosny okrzyk niemiłosiernie poturbowanych obrońców. Przez moment, tam gdzie stał zły stwór, wisiał kłęb ciemnego pyłu - brudu, pleśni i tłustych plam, z których zrobiona jest szwindlakowa dusza. A potem i ta chmurka się rozwiała.

Pyk!

Drugi szwindlak zmienił się w obłok dymu.

Pyk! Pyk! Pyk!

Tęczowe balony baniek wolno sunęły nad placem bitwy, szukając kolejnego celu. Teraz dopiero herszt szwindlaków, ów Hwrgrr, zrozumiał, co się święci.

- To magia! W nogi!

Sam pierwszy rzucił się w tę stronę, z której zaatakowali. Ku ostrokołowi. Za nim pognali jego kamraci.

- Zatrzymajcie ich! Zatrzymajcie! - krzyknął Darlan. Wiedział, że jeśli choć jeden szwindlak umknie z pułapki, to wszystko na nic. Stwory ponownie się rozmnożą i lepiej przygotują następny napad. A Magiczne Mydło już zostało wykorzystane...

- Zatrzymajcie! - znów krzyknął, rzucając się ku najbliższemu szwindlakowi. Chwycił go za nogę. Tamten wierzgnął, odrzucając rycerza na bok, ale na chwilę zwolnił. To wystarczyło. Migotliwy cień

bańki wpłynął nad jego łeb.

Pyk!

Ale kilka szwindlaków, nic zważając na opór kurzymisiów i pułapki, wciąż parło w stronę ostrokotu.

Pyk! Pyk!

Jeszcze czterech. Przedarły się przez zapory, były coraz bliżej palisady. Za nimi, wolno, bardzo wolno, płynęło kilka baniek. Kurzymisie i Darlan zaprzestali gonitwy. Nic już nie mogli zrobić - tylko obserwować wyścig pomiędzy szybkimi, sześciolapymi stworami a powolnymi, majestatycznymi, pięknymi kulami.

- Teraz! - zza pleców oniemiałych kurzymisów dobiegi krzyk Wielkiego Wuja. Z jego dłoni trysnął nowy deszcz iskier, niosąc gwałtowny podmuch wiatru. Tak gwałtowny, że Męczyduszowi spadła z głowy czapka, a Darlanowi nnostroszyły się wąsy. Opalizujące mydlane kule wydeły się jak żagle i przyspieszyły, by w końcu rozprysnąć się nad głowami szwindlaków.

Pyk! Pyk!

Już tylko herszt i jeden z jego kompanów pędzili ku wyrwie w ostrokole. Z ust Darlana wydobył się jęk zawodu. Znad wież płynęła za szwindlakami ławica baniek, ale poruszały się zbyt wolno. Jeszcze parę susów i szwindlaki dopadną wyłomu.

I nagle, Darlan aż przetaił oczy, przy ostrokole coś się zaczęło dziać. Oto ziemia się wybrzuszyła. Spod niej strzeliły w górę cienkie witki, zaczęły się rozgałęziać, pokryły pączkami, potem listkami. Jednocześnie rosły, męźniały, delikatna kora pękała, zmieniała się w twardą skórę dorosłego drzewa. W ciągu kilku sekund, przed ostrokołem wyrósł cały zagajnik, szczelnie blokując powstałą wcześniej wyrwę. Pierwszy zrozumiał to gnom Meczydusz.

- Leśne duszki! To leśne duszki wyczarowały!

Szwindlaki również zobaczyły nową przeszkodę. Jeden stanął zdziwiony. Nim się otrząsnął ze zdumienia, nad jego głowę nadpłynęła bańka.

Pyk!

Ale wódz Hwrgrr nie zamierzał się poddać. Dwoma susami ominął drzewa. Skoczył w bok, tam, gdzie ostrokól wydawał się najniższy. Wybił się w powietrze i już, już wydawało się, że przepłynie ponad zaporą, gdy nagle z wnętrza ściętych drzew wysunęły się liczne dłonie. Mgliste, drżące, zielonoblękitne - sięgnęły po szwindlaka, schwyciły go mocno i cisnęły o ziemię.

„Za naaaszyc braaaci, za naaaszyc braaaaci” - w głowie Darlana rozbrzmiał szept leśnych duszków.

Dłonie wyciągnęły się ku szwindlakowi, otoczyły go, rozpostarły wokół niego lśniąca,

nieprzejrzystą zasłonę. Kiedy zniknęła, nie było już herszta szwindlaków Hwrgrra. W jego miejscu skakał po ziemi, przekrzywiając łebek i nieporadnie bijąc skrzydłami, mały, zielonogłowy dzięcioł.

„Krzyyywdził drzeewa... - zaszeptaty duszki. - Teeeraz nieeech je leeczy...”.

- Jak to zrobiłyście? - spytał Darlan.

„Póóóźniej, ryyycerzu! Jeeesteśmy zmęczone. Musimy od począąć...” - głos duszków brzmiał coraz ciszej. Nawet dla tych najsilniejszych i czasem wręcz nazywanych „duchami” wyhodowanie drzew i powstrzymanie Hwrgrra musiało stanowić przeogromny wysiłek.

- Dziękujemy wam, bracia! - Wielki Wuj ruszył w stronę częstokołu, szykując się do poważnego przemówienia i uroczystego wręczania medali. - Dzięki wam...

Ale Leśne duszki milczały. Pewnie teraz zajmowały kwatery w dopiero co wyrosłych drzewach - swoich nowych domach.

Zielonogłowy dzięcioł trwożnie spojrzał na zbliżającego się Wuja. W czarnych paciorkach ptasich oczu odbił się blask medali niesionych przez młodego pomocnika. Dzięcioł raz jeszcze wstrząsnął łebkiem i odleciał ku lasowi.

Minęły dwa dni.

Z każdym krokiem rycerz i gnom oddalali się od wioski. Postanowili jeszcze nie odpinać otrzymanych na pożegnalnym bankiecie medali. A nuż zobaczyłby to jakiś zabłąkany kurzymiś i zrobiłoby mu się przykro.

- Wyjaśnij mi, panie gnomie - spytał Darlan - bo ciągle mi chodzi po głowie jedna myśl. Czemuś ty mnie zaczepił na drodze, co? Przecież nie lubisz przygód?

- Aaa, tanto - Męczydusz uśmiechnął się szeroko. - Bo widzisz, drogi rycerzu, od śpiewania w moim lesie to jestem ja!

I zaśpiewał.

Przerażony biegacz Darlana zatrzymał się dopiero za dziewiątym rozstajem i dlatego rycerz nigdy nie dowiedział się, jaką to pieśń chciał podjąć dzielny leśny gnom Męczydusz.

PRAWDZIWY SKARB

Każdy błędny rycerz wie, że nie ma to jak dobrze rozpoczęta przygoda.

Dobra przygoda powinna się zaczynać niespodziewanie i w miłych okolicznościach; tuż po śniadaniu, ewentualnie po poobiedniej drzemce, najlepiej w ciepły, słoneczny dzień. Taki jak ten.

Darlan jechał na biegaczu, pogwizdywał z cicha i podziwiał świat. Gwizdanie i śpiew to najlepszy w podróży (oprócz dobrze ułożonego wierzchowca) przyjaciele błędnego rycerza. Kiedy wędruje się przez dzikie ostępy, nic tak nie dodaje ducha jak dziarska piosenka. Warto tu dodać, że większość błędnych rycerzy po wjechaniu na tereny zamieszkane przestaje śpiewać, a to dlatego, żeby nadmiernie nie irytować miejscowej ludności.

Darlan był błędnym rycerzem z prawdziwego zdarzenia - młodym, ale już doświadczonym. Jak sam twierdził, miał za sobą już piętnaście i pół przygody (za te pół przygody Darlan poczytywał sobie spotkanie z pewnym dentystą - już po rwaniu trzonowca rycerz dowiedział się, że ów zaradny jegomość dorabiał sobie po godzinach jako kat miejski).

Przygoda numer szesnaście i pół zaczęła się nagle. Biegacz zarżał, a rycerz tuż obok siebie usłyszał oddech obcego człowieka. Zatrzymał wierzchowca, rozejrzał się wokół. Pusto. Dźwięk ucichł, za to przed oczami Darlana pojawiła się świetlista kropka. Po chwili punkt urósł, zmienił się w kuleczkę lśniąca białym blaskiem.

- Wiadomość dla rycerza Darlana - powiedziała kuleczka piskliwym głosikiem i zaczęła śmigać w powietrzu, kreśląc przed oczami zdziwionego podróżnika świecący napis.

Drogi Darlanie!

Zwracam się do Ciebie z prośbą o pomoc. Wiem, że jak każdy błędny rycerz masz mnóstwo ważnych i niecierpiących zwłoki zajęć zawodowych. Najpewniej włączysz się teraz po gościńcach, poszukując nieszczęsnych potworów do zakatrupienia. Jednak byłbym Ci bardzo wdzięczny, gdybyś mógł na pewien czas zrezygnować z tych światowych przyjemności i pomóc mi w pewnej delikatnej sprawie. Będę Cię oczekiwał dokładnie za dwa tygodnie w gospodzie „Wesoły Troll” stojącej w Puszczy Niespodzianek. Jak już wspomniałem wcześniej, sprawa jest delikatna i prosiłbym Cię, żebyś zachował ją w tajemnicy.

A więc do rychłego, mam nadzieję, zobaczenia

Twój przyjaciel, Konnektus zwany Rozumnym

PS Kiedy odczytasz ten list, powiedz „Dziękuję”.

- Potwierdzam odbiór wiadomości, dziękuję - powiedział Darlan, a wtedy kuleczka zamrugła i zniknęła. Potem wyblakł także wiszący w powietrzu napis, który po chwili zaczął się rozwiewać niczym fajkowy dym.

List wysłał Konnektus Rozumny, przyjaciel Darlana z żakowskich czasów. Nie widzieli się od

kilku lat. Darlan wciąż podróżował po świecie w poszukiwaniu przygód, a Konnektus był uczonym bakałarzem. Pracował na uniwersytecie, poszukując kamienia filozoficznego, próbując wyrysować kwadraturę kota i wymyślając absolutnie skuteczne maści na komary. Cóż takiego się stało, że Konnektus poprosił Darlana o pomoc? I co mogło zmusić tego miłośnika nauk i ciepłych bamboszy do wyprawy w sam środek Puszczy Niespodzianek (który to las zgodnie ze swą nazwą oferował podróżnym różnorodne atrakcje, takie jak napady zbójników, ataki goblinów, pościgi wilczej sfory oraz burze z gradobiciem)? Musiało się wydarzyć coś naprawdę niezwykłego, by Konnektus odstawił alchemiczne retorty i alembiki, przykuł do półek wszystkie swoje magiczne księgi (żeby nie uciekły) i pozostawił pod opieką studentów laboratoryjne myszki i nietoperze.

Darlan wiedział, że nie odpowie na te wszystkie pytania, jeśli sam tego nie sprawdzi. Czternaście dni później dotarł do wyznaczonego miejsca spotkania.

Trolle pomnikowe to sympatyczne, ale bardzo rzadko spotykane magiczne istoty o dziwnych nawykach i obyczajach. Ustawiają się na skrzyżowaniach traktów i zastygają w bezruchu, wyglądając niczym omszałe, kamienne rzeźby. Przyjmują najdziwniejsze pozy, a czasami nawet przybierają postacie znanych osobistości - królów i czarodziejów, pięknych księżniczek i bohaterów legend. Nie muszą jeść - żywią się bowiem podziwem i zainteresowaniem patrzących ludzi. Im więcej osób ogląda trolla pomnikowego i im bardziej się nim zachwyca, tym bardziej staje się on najedzony, tłusty i zadowolony z życia (trzeba tu oczywiście dodać, że pojęcie piękna mają trolle cokolwiek dziwaczne, stąd przedstawiane przez nich księżniczki nie cieszą się dużym wzięciem). Darlan słyszał, że w dawniejszych czasach przy co ruchliwszych traktach można było spotkać całe szeregi pomnikowych trolli wystawiających swe kamienne gęby na widok gawiedzi. Powstała nawet specjalna odmiana tych stworzeń, które przywędrowały do miast i próbowały zajmować pozycje na ruchliwych placach targowych, przy bramach, a nawet wtarabaniać się do prywatnych ogródków. Zważywszy na to, że przeszkolony do zawodu troll pomnikowy potrafi stać w bezruchu przez jakieś dwieście lat, można sobie wyobrazić, dlaczego właściciele ogródków niespecjalnie za nimi przepadali.

W dzisiejszych czasach trolle pomnikowe spotyka się bardzo rzadko, a jeśli już, to wyłącznie w gęsto zamieszkanym okolicach. Darlan zdziwił się więc bardzo, że zobaczył takiego stwora tu, obok starej gospody, na zapomnianej drodze wiodącej przez środek lasu. Wszak przez Puszcę Niespodzianek rzadko wędrowały karawany kupieckie i raczej nie należało tu liczyć na przypadkowych przechodniów.

Troll stał na jednej nodze, z łapami zgiętymi w łokciach i szeroko otwartą paszczą, wyszczerzoną w szczerbatym uśmiechu. Może udawał bociana, który właśnie połknął smaczną żabę? Skóra stwora była szara. Darlan przypuszczał, że gdyby jej dotknął, to poczułby chłód i chropawość kamienia. Troll musiał dość długo stać w bezruchu, bo jego nogę obrosła gęsta trawa, pomiędzy ramionami pająki utkały swoje sieci, a na głowie uwiła sobie gniazdo para pliszek. Mniej wykształcony od Darlana obserwator mógł wziąć trolla nie za żywą istotę, ale za zwykłą rzeźbę. Troll był raczej szczupły, bez wahania można powiedzieć - wychudzony. Nic dziwnego, rzadko kiedy ludzie podróżowali tą drogą, więc nie mógł liczyć na spojrzenia zbyt wielu ciekawskich oczu. A bez zainteresowania i podziwu gawiedzi trolle pomnikowe szybko tracą na wadze. Kiedy Darlan

podjechał bliżej, troll podniósł kamienne powieki, zamrugnął i powoli powiedział:

- Karczma „Wesoły Troll” wita! Zapraszamy na ciepłe, a za dodatkową opłatą także świeże przekąski - głos trolla chrząścił i skrzypiał, jakby stwór międlął w zębach worek żwiru. Może zresztą czasem to robił, sądząc po stanie jego uzębienia.

- A ten wesoły troll to ty? - spytał Darlan.

- Podajemy zimne napoje oraz oferujemy wygodne miejsca noclegowe w stajni... - ciągnął troll niewzruszenie. Jeśli chodzi o tak zwaną inteligencję,trolle pomnikowe nie różnią się zbyt ocl innych przedstawicieli swojej rasy: są mniej więcej tak samo lotne jak trzystukilowe kowadło.

Darlan zrezygnował więc z zadawania dalszych pytań i skierował się wprost do karczmy. Jeszcze zza pleców dobiegł go głos:

- Przyjmujemy wszelkie waluty z podobiznami królów, książąt i murgrabiów, posiadające znaki wodne, certyfikat ważności z pieczęciami oraz...

Karczma wyglądała na równie starą co troll - pokrzywiona, kamienista, omszała - nie zawaliła się jeszcze chyba tylko z lenistwa. Jednak szyby w oknach były starannie wypucowane, drzwi odmalowane, a przed wejściem suszył się na płocie rząd czystych garnków. Te oznaki skrzętności i porządku bardzo ucieszyły Darlana. Żeby zdążyć na umówiony dzień spotkania, jechał tu bardzo szybko, nie polując ani nie zbierając świeżych owoców. Teraz miał ochotę na smaczny posiłek, ciepłą kąpiel i wygodne łóżko.

Kiedy podszedł bliżej budynku, usłyszał tupot nóg. Drzwi otworzyły się z hukiem i prosto na Darlana wyskoczył z nich mały, może dziesięcioletni chłopiec.

Łups! Stuknął głową w nogi Darlana, jęknął z bólu i klapnął na ziemię. Chwilę później z gospody wytoczyła się zażywna, niemłoda już kobieta. Stała w progu, patrząc na rycerza i na malca, wreszcie ruszyła w ich stronę, wyciągając zza pasa wielką drewnianą łychę.

- Och, ty urwisie! Wybacz, szanowny panie, zaraz tego gałgana spiorę tak, że popamięta i szanownego pana przeprosi. No, przeproś szanownego pana, ancymonie, przeproś! A chochlą tak zaraz dostaniesz, urwipołciu, że odechce ci się tego biegania...!

- Stop! - powiedział Darlan spokojnie, choć na widok szarżującej gospodyni zadrżałby niejeden rycerz. - Mały nic mi nie zrobił!

- Ale mógł zrobić! - nie poddawała się niewiasta. - Czy szanowny pan wie, co się szanownemu panu przez tego farfocla mogło stać?! Na przykład...

- Stop! - powtórzył Darlan. - Czy pani jest właścicielką tej gospody?

- A pewnie. Ja! Kto inny by tu chciał siedzieć na tym odludziu?! I jeszcze wychowywać takiego szaląputę...

Darlan zrozumiał, że jeśli szybko czegoś nie wymyśli, to zaraz zostanie poinformowany o wszystkich kłopotach zawodowych, rodzinnych i wychowawczych korpulentnej niewiasty. Musiał ją powstrzymać. Przyszedł mu do głowy tylko jeden pomysł, jak to zrobić.

- Ciszaaaa! - wrzasnął, ile tylko miał sił w płucach. A potem spokojnie dodał: - Czy można u pani złożyć zamówienie?

Wszedł do środka oberży. Nie spodziewał się, że w karczmie na takim odludziu jednocześnie może zebrać się aż tylu klientów. Konkretnie - ośmiu.

Przy największym ze stołów siedziało dwóch drwali - wielkich, ponurych drabów o sękatych ramionach, pobrużdżonych twarzach i czarnych, skołtunionych brodach. Rozmawiali głośno w jakimś swoim drwalskim narzeczu, z którego Darlan co jakiś czas wychwytywał pojedyncze słowa. Zazwyczaj miały one coś wspólnego z „walnąć”, „grzmotnąć”, „gruchnąć” i „przyfanzolic”.

Przy drugim stole siedział szczupły mężczyzna w podróżnym stroju. W kilku stojących przed nim miskach piętrzyły się stosy zieleniny. Chudzielec pożerał je w błyskawicznym tempie, co chwila wpychając sobie do ust kolejną porcję liści, łodyg i bulw. Darlan domyślił się, że to najpewniej znachor-zielarz preferujący zdrowy styl życia.

Wreszcie w samym kącie sali tkwiło kilku małych ludzików o śniadej cerze i prostych białych włosach. Ich głowy ledwie wystawały ponad blat, ale długie ręce sprytnie zagarniały do otwartych ust różne smakołyki. Obok stołu leżało pięć pakunków - każdy zdecydowanie większy od swojego właściciela. Worki były stare, połatane i pocerowane, a wypchane tak, jakby wsadzono do nich więcej gratów, niż zawiera posag średnio zamożnej księżniczki. Darlan rozpoznał w ludzikach przedstawicieli rasy karłupców. Karłupcy zajmowali się głównie obnośnym handlem, a w swoich workach mieli zazwyczaj wszystko, co przeciętny człowiek chciałby kupić, nie wyłączając niewielkich pałacyków, egzotycznych zwierząt i beczek kiszonej kapusty (żadnemu ze znanych magów i naukowców nie udało się odkryć tajemnicy karłupcowych worków, mimo że w wielu królestwach zagadnienie to zostało włączone do tajnych programów zbrojeniowych).

Darlan zajął miejsce przy stole. Zamówił owocowa herbatę, grochówkę i pieczonego kurczaka,

- Coś nie za tłusty ten wasz przydrożny troll - zagadnął karczmarzę, gdy stawiała przed nim talerz z parującym mięsiwem.

- A chudziutki, biedaczysko - rozczuliła się gospodyni. - Aż żal! Ale jak ma nie być chudy, skoro teraz mało kto chodzi traktem. Bywa, że i przez tydzień nikt tu nosa nie wsadzi. No, jak troll pomnikowy ma utyć na takiej diecie?

- Nie może się przenieść w ludniej szą okolicę?

- Panie rycerzu, a co to ja nie mówiłam mu: idź, trollu, zostaw nas, damy sobie radę, przenieś się do stolicy albo przynajmniej do najbliższej wiochy. „Kontrakt - powiada on na to - z ichmości dziadkiem podpisałem, to słowa dotrzymam. Swój honor mam!”.

- Jaki kontrakt?

- Ano z dziadkiem moim, co tę karczmę zbudował. Troll, Galigapter się nazywa, zobowiązał się za słup ogłoszeniowy robić i w potrzebie pomagać przez najbliższe sto lat. No to mu jeszcze - karczmarka zawahała się, licząc na palcach - jeszcze jakieś pięćdziesiąt cztery zostały... Zmarnieje nam tu, nieboga, nie ma co gadać. Ale honor święta rzecz i dla rycerza, i dla pomnikowego trolla.

- A cóż dziadek pani trollowi w tym kontrakcie zaoferował?

- Jak to co? Miejsce przy karczmie! Panie rycerzu, tu dawnymi czasy ruch był jak w króliczej norze! Karawany kupców, pszczelarze, drwale, orszaki rycerskie, wszyscy jeździli na skuśki przez Puszcę Niespodzianek. A ze trzydzieści lat temu będzie, jeszcze mój tatuś oberżą kierował, łups i pups, coś się zacięło w interesach. Legenda poszła, że w puszczy cosik na karawany napada i cały ładunek zżera, czasem i razem z woźnicami. A co najważniejsze, nowe krótsze drogi przez góry zbudowali. No i rok za rokiem coraz mniej ludzi traktem jeździło. Dzisiaj - wskazała na siedzących w oberży gości - ruch mam większy niż przez ostatnie dwa tygodnie razem wzięte!

- A nie pojawił się tu ostatnio taki chudy dziwak? Włosy ma czarne - te, które mu jeszcze zostały. Chodzi w poplamionym i dziurawym kubraku, na nosie trzyma szkła okrągłe, okularami zwane, a palce ma poplamione atramentem i kwasami.

- Eee... nie było. Takiego to bym zaraz zapamiętała. Atrament na palcach. To pewnie i pisać umie, co? Czego to ludzie w dzisiejszych czasach nie wyrabiają?!

- No to szkoda - mruknął Dartan i zajął się jedzeniem smakowicie przyrządzonego kurczaka. Oberżystka spojrzała na wszystkie stoły, zapytała, czy gościom czego nie brakuje, i poszła do kuchni. Chwilę później drzwi karczmy skrzypnęły i stanął w nich mały syn karczmarki. Niepewnie zatrzymał się na progu, ale sprawdzwszy, że matki nie ma w izbie, szybko podszedł do stolika Darlana.

- Panie rycerzu - wyszeptał - wielmożny panie rycerzu... Ja słyszałem, o co pan moją mamę pytał. Tego człowieka w karczmie nie było... ale Gaptuś, Galigapter znaczy, widział takiego jednego cudaka... Może jaśnie pan Gaptusia spytać!

- To troll gada coś jeszcze oprócz zaprosin do gospody?

- Tylko z przyjaciółmi - uśmiechnął się malec. - A ja jestem jego przyjacielem! Na imię mi Klimek!

- No to chodźmy - Darlan ruszył za chłopcem. W drzwiach gospody zatrzymał się na chwilę i obejrzał. Wszyscy goście - drwale, ziołojad i karłupcy - zajęci byli swoimi sprawami, czyli jedzeniem, gadaniem i pilnowaniem worków z dobytkiem. Jednak Darlan założyłby się o swoje wąsiska, że jeszcze przed chwileczką wszyscy wpatrywali się w jego plecy i uważnie słuchali rozmowy z malcem.

Darlan był tak zmęczony długą podróżą, że chciał położyć się spać, gdy tylko słońce skryje się za

linią horyzontu. Izba, którą dostał od karczmarki, nie była duża, ot taka, żeby się w niej zmieściło łóżko, cebrzyk z wodą i kilka półek. Rycerz umył się przy studni. Przez nieosłonięte okna widział wnętrze karczmy. Towarzystwo w środku nie zmieniło się. Drwale dalej opowiadali zajmujące historie o tym, jak to kiedyś jeden drugiego kijem potraktował. Sałatożerca wprowadzał do żołądka kolejne porcje roślinnego jadła. Karlupcy okupowali swój stół, a w przerwach między posiłkami grali w jakąś dziwną karłupcową zabawę polegającą na handlowaniu karteczkami o tajemniczych nazwach „obliggo” i „weksello”. Po rozgrywce zwycięzcy oddawali swoje łupy przegranym i cała zabawa zaczynała się od nowa.

Jeśli nie liczyć wybuchów śmiechu drwali, popiskiwania rozgrzanych emocjami karłupców oraz mlaskania i siorbania trawojada, wokół gospody panował spokój. Tylko drzewa cicho szumiały, widocznie też już zmorzone wieczorem, umilkły ptaki dzienne, jeszcze nie obudziły się sowy i ćmolbrzemy. W tężejącym półmroku Darlan dostrzegł sylwetkę Galigaptera. Troll stał cały czas w tym samym miejscu, najprawdopodobniej nie drgnąwszy przez cały dzień. Nawet paszczę ciągle miał otwartą w uśmiechu. Może naprawdę się cieszył, wszak wedle słów oberżystki tylu ludzi naraz nie patrzyło na niego od tygodni. A więc i dla honorowego trolla był to syty dzień.

„Smacznego” - pomyślał Darlan, uśmiechając się pod wąsem.

Postać trolla, pewna, niewzruszona, trwająca na służbie pomimo przeciwności, przydawała sytuacji poczucia bezpieczeństwa i spokoju. A jednak Darlan się denerwował. Galigapter bowiem wyjawiał mu w rozmowie, że widział człowieka, którego opis zgadzał się z wyobrażeniami Darlana o możliwym wyglądzie Konnektusa. Jak powiedzieliśmy wcześniej, trolle pomnikowe nie zajmują górnych szczebli na ewolucyjnej drabinie inteligentnych istot, jednak pamięć mają doskonałą. Czymże bowiem ma zajmować się stojący nieruchomo przez dziesiątki lat stwór jak nie zapamiętywaniem widzianych rzeczy? No więc Galigapter widział człowieka w podniszczonym płaszczu i akademickim birecie, z okularami na nosie i palcami poplamionymi atramentem. „Pachniał ładnie” - dodał jeszcze od siebie troll, z czego należało wnioskować, że wokół człowieka unosiła się woń siarki, metalu i minerałów. Tak właśnie wyglądali i pachnieli wszyscy akademicy profesorowie, których Darlan znał z dawnych czasów. Rycerz nie sądził, żeby na to odludzie zaplątało się naraz aż dwóch bakałarzy. Człowiek, którego widział troll, musiał być Konnektusem.

Przyjaciół Darlana nadszedł podobno drogą od południa. Im bliżej karczmy, tym ostrożniej się poruszał. Wreszcie zszedł z traktu, ominął witającego go trolla i zaszył się w gęstych krzakach jeżyn otaczających oberżę od strony lasu. Spędził tam blisko pół dnia, uważnie obserwując wszystkich wchodzących do oberży gości. Potem zaś wygramolił się z zarośli i zamiast iść do karczmy na posiłek, ruszył z powrotem tam, skąd przyszedł, tyle że nie traktem, ale lasem. Wszystko to działo się wczoraj, a więc na dzień przed umówionym z Darlanem terminem spotkania. Dziś bakałarz nie pojawił się ani w oberży, ani w jej okolicach, choć wiedział, że może się tu zobaczyć z Darlanem! Co się stało? Czyżby Konnektus obawiał się któregoś z gości gospody i postanowił poczekać na Darlana w lesie? A jeśli tak - to czemu nie przybył dzisiaj? Te pytania dręczyły rycerza, podobnie jak dziwna i tajemnicza treść listu od Konnektusa. I dlatego właśnie wieczór, mimo że ciepły i przyjemny, wcale nie wydawał się spokojny.

Darlan położył się spać. Wypchany suchą trawą siennik zapadł się miękko pod ciężarem jego ciała. Przez okno sączył się do izby blask księżyca, oświetlając ją białym, ostrym blaskiem. W końcu

zmęczenie, dobry posiłek i wygodne posłanie pokonały niepokoję Darlana. Rycerz usnął.

Nie minęła jeszcze północ, gdy cień przesłonił księżycowe światło. Pod oknem Darlana coś zaszemrało, dwie dłonie przylgnęły do okiennej szyby, a chwilę potem ponad parapet wychyliła się osłonięta kapturem twarz. Długie wąskie palce przesunęły się wzdłuż framugi, szukając szczeliny. Natrafiły na nią: błysnął nóż, podważone okno zadrżało, pchnięte delikatnie, zaczęło się otwierać. Postać podciągnęła się na parapecie, by wejść do izby, w której spał Darlan.

Już prawie była w komnacie, gdy za jej plecami wyrosła jeszcze jedna sylwetka. Potężne, kostropate kontury zdradziły, że to jeden z drwali. Mężczyzna wzniosł maczugę i z całej siły grzmotnął intruza w zakapturzoną głowę. Człowiek z nożem zdążył tylko krzyknąć z bólu, po czym jego ciało z hukiem zsunęło się do wnętrza, tłukąc przy okazji okienną szybę.

Kiedy obudzony Darlan poderwał się z łóżka, do jego izby wbiegała właśnie uzbrojona w kij oberżystka. Za nią szedł trzymający świeczkę syn, z innych części gospody dobiegały krzyki obudzonych gości. Jednak kiedy rycerz spojrzął za okno, nikogo już tam nie było.

- Niech pani odłoży swój instrument przemocy - uspokajająco powiedział Darlan do oberżystki. - To przyjaciel.

- W nocy przez okno włazi i przyjaciel?! - mocno zdenerwowała się kobieta. - Nową szybę mi potłukł. Parę talarów kogoś ta przyjaźń będzie kosztować!

- Pokryję wszelkie koszty. A teraz proszę wyjść i przynieść tu zaraz dzban dobrego napoju i kawałek chleba.

- I pół sarniego udźca - mruknął podnoszący się z ziemi nieudacznym napastnik. - Od dwóch dni nic nie jadłem. Hm... To niech będzie cały udziec.

- Patrzcie go - jeszcze zza drzwi słyhać było trajkotanie. - W nocy do domu uczciwego karczmarza się zakrada i jeszcze ma wymagania... A skąd ja mu o tej porze udziec sarni znajdę? Chyba że zaraz coś upoluję po lesie...

- Cały czas tak gada, nie przejmuj się - Darlan spojrzął na przybysza z uśmiechem. - A teraz ty mi wytłumacz! Po co, do stu powodzi, w środku nocy włazisz do mojego pokoju przez zamknięte okno, Konnektusie?

- Próbowałem je otworzyć - mruknął mężczyzna, rozcierając stłuczony łokieć. Ciężko usiadł na łóżku i zaczął swoją opowieść:

- Jak wiesz, drogi Darlanie, od dziesięciu lat pracuje jako bakałarz honoris causa (o włos od tytułu magistra) na Uniwersytecie Miejskim w Xfordzie. Prowadzę tam zajęcia w Katedrze Języków Dawnych i Jeszcze Dawniejszych. Generalnie zajmujemy się odszukiwaniem manuskryptów, ksiąg, pergaminów, napisów naskalnych, nadrzewnych, podwodnych i napowietrznych wykonanych przez dawno wymarłe rasy i kultury. Wszystko to spisane jest w tajemniczych językach, które próbujemy odszyfrować. Nie mamy łatwej roboty, zważywszy, że o przedstawiciela wymarłej rasy nadzwyczaj

trudno w dzisiejszych czasach. Dołóż sobie jeszcze, że na ziemi żyły kiedyś stworzenia, które pisały kolorami, zapachami czy ułożeniem fryzury na głowach. Tak więc praca nie jest łatwa, ale za to niezwykle ciekawa, a przy tym może przynieść badaczowi wielką naukową sławę (o tytule magistra nie wspominając). Wiele dowiadujemy się o przeszłości naszego świata, o tym, kto na nim kiedyś żył, jak żył i po co. Mówię ci, Darlanie, historia to najciekawsza akademicka nauka (niczego nie ujmując, rzecz jasna, fizyce, alchemii i białej magii). Wracając do tematu - w czasie mojej pracy bardzo dużo czasu spędzam w akademickiej bibliotece, przekładając prastare pergaminy, kamienne tabliczki i wytatuowane mumie (wiesz, papier to całkiem nowy wynalazek), I właśnie w jednej z takich ksiąg trafiłem na niezwykle znalezisko. W grzbiet zwykłego, średnio ciekawego woluminu, traktującego o obyczajach potworów nessesie, włożono strzęp chusty. Na chuście tej spisano opowieść o skarbie ukrytym w tych rejonach. Podobno ów skarb to spuścizna plemienia Czarnobrodych zamieszkującego okoliczne ziemie przed tysiącem lat. Zapis mówi o tym, że gdzieś tu znajduje się ukryty skarb Czarnobrodych, i podaje kilka wskazówek, jak można do niego dotrzeć. Podekscytowany tym odkryciem poprosiłem moich przełożonych o dwumiesięczny urlop i postanowiłem wyruszyć na wyprawę poszukiwawczą. Niestety, moje przygotowania wpadły komuś w oko. Pewnej nocy, kiedy już miałem kupiony wóz, łopaty i zapas sucharów, pod mój dom podłożono ogień. Wszystko spłonęło. Także owa chusta, choć nie mam pewności, że nie została wcześniej ukradziona. Początkowo sądziłem, że to przypadek, jednak dwa dni później bandyta zaatakował mnie na ulicy. Gdyby nie przechodzący obok patrol halabardników miejskich, już byś mnie Darlanie nie widział, chyba że jako zjawę z zaświatów przywołaną czarami.

To wtedy napisałem do ciebie list. Uznałem, że nie mogę tej sprawy tak zostawić, że mój prześladowca musi ponieść karę, no i że trzeba odszukać skarb. Wyobrażasz sobie, jakie bogactwa mogli zostawić Czarnobrodzi?!

- Jak się znam na skarbach, to pewnie będzie to: punkt pierwszy - złoto, punkt drugi - klejnoty w złocie, punkt trzeci - złote monety, punkt czwarty...

- Owszem, owszem, ale nikt nie ma jeszcze żadnych wytworów kultury Czarnobrodych. Oprócz ruin ich twierdz i paru wielkich posągów nic się nie zachowało do naszych czasów. Jeśli zdobędę ten skarb, to na pewno zostanę magistrem, a kto wie, może nawet prezydentem!

- Prezydentem czego?!

- Jak to czego? Naszego uczelnianego koła dyskusyjnego historyków!

- Czy nie za często patrzysz w przeszłość, mój drogi Konnektusie? Może należy bardziej interesować się przyszłością?

- Ech, rycerzu. Bez przeszłości nie ma przyszłości. Kim byś był bez swoich wspomnień, bez doświadczeń, bez przeżyć? Bezmyślnym stworem, co szuka tylko korzyści, co zapomina o swych powinnościach, krzywdach ludzkich i wiedzy, którą zdobyli przodkowie. To samo dotyczy królestw, ludów i światów.

- Oraz całego okolicznego kosmosu, jak się domyślam - uśmiechnął się Darlan.

- Tak sądzę, choć teza ta nie została na razie naukowo udowodniona. Jak wiesz, wszystkie dotychczasowe magiczne podróże poza nasz glob miały przebieg negatywny. Szczególnie dla eksperymentatorów.

- No dobrze, wróćmy do twojej opowieści.

- Kiedy zorientowałem się, że jakiś łajdak czyha na moje życie, zacząłem się ukrywać. Trzy dni spędziłem w katakumbach na akademickim cmentarzu. I choć miałem tam sposobność obcowania twarzą w twarz z dawnymi sławami naszego uniwersytetu, to - jak się domyślasz - nie wspominam tego czasu zbyt miło. Nocami wymykałem się na miasto i dokonywałem zakupów prowiantu na drogę. Potem chyłkiem opuściłem Xford. Szedłem lasami, raczej unikałem traktów. Skąd mogłem wiedzieć, czy zaatakował mnie pojedynczy bandzior, czy cała szajka mogąca obstarwić wiele gościńców i bezwzględniejsza niż urząd podatkowy (o ile to w ogóle jest możliwe). Mimo tych przeszkód dotarłem tu na czas, a nawet przed czasem, bo wczoraj. Od tej gospody do miejsca ukrycia skarbu jest już bardzo niedaleko. Jednak w oberży siedziało wielu podejrzanych typków. Uznałem, że bezpieczniej będzie, jak ukryję się w lesie i poczekam na twoje przybycie. Niestety, ktoś mnie napadł. Dostałem w łeb drewniana pałą, tak że zobaczyłem przed oczami wszystkie gwiazdozbiory. Powleczono mnie przez las, związano jak dobrego baleron i ciśnięto do dołu. Sądzę, że nie zabili mnie od razu, bo gdyby mieli jakieś kłopoty z odnalezieniem skarbu, zawsze mogliby wymusić na mnie współpracę - Konnektus zdrzął na myśl, co bezwzględni bandyci mogliby uczynić z jego akademickim cherlawym ciałem i twarzą duszą intelektualisty. - Jednak popełnili błąd. Nie sprawdzili dokładnie jamy, a ja odnalazłem w niej ostro zakończony kamień. Udało mi się przeciąć więzy i uwolnić z pułapki. Nocą chyłkiem dotarłem tutaj. Bałem się pokazywać wszystkim, żeby i na ciebie od razu nie ściągać niebezpieczeństwa. Resztę znasz. Otwierałem właśnie okno, gdy ktoś walnął mnie od tyłu w czaszkę, I teraz mam na głowie dwa guzy. Poszukiwanie starych skarbów to nie jest chyba zajęcie dla szanującego się bakałarza (z dużą szansą na magisterium)!

- Jeśli rzeczywiście zaatakował cię twój wcześniejszy prześladowca, to wie już, że uciekłeś. Musi się śpieszyć i jak najszybciej dotrzeć do skarbu. My też musimy ruszać natychmiast!

- Nie musimy - spokojnie powiedział Konnektus. - Opis mówił, że do skarbu można dotrzeć tylko w czasie kilku specjalnych dni w roku. Właśnie jutro jest taki dzień. Ostatniej wskazówki dostarczy nam blask południowego słońca. Mamy więc czas do jutra. Wyścig zacznie się o świcie.

„Kto jest napastnikiem: drwale, wegetarianin, karłupcy? - zamyślił się Darlan. - Karczmarka chyba nie, bo co ona robiłaby w Xfordzie? A może to robota kogoś zupełnie innego?”.

Wstali wczesnym rankiem, ale okazało się, że inni mieszkańcy gospody również potrafią zrezygnować z wylegiwania się na sianie. Ziolarza już nie było. Powiedział gospodyni, że idzie do lasu w poszukiwaniu bardzo smakowitych mchów, które rosną w tej okolicy. Drwale właśnie opuszczali gospodę, hałasując przy tym niczym pożądlone przez pszczoły niedźwiedzie. Karłupcy wsuwali śniadanie: porcję jedzenia równie wielką jak wczorajsza kolacja. Worki oczywiście trzymali tuż obok siebie. Darlan i Konnektus szybko zjedli zupę owsianą, chwilę pogawędzili z Klimkiem i wypytali gospodynię o to, kto jeszcze kręcił się ostatnio po okolicy. Nie musieli się już

ukrywać, przeciwnik i tak wiedział, po co tu przybyli. Darlan sprawdził jeszcze, czy biegacz w stajni jest dobrze oporzędzony, po czym pieszo wyruszyli w las. Konnektus pamiętał doskonale treść planu, niemniej jednak poruszał się po nieznanym terenie, więc dość często stawali, szukając zapowiedzianych wskazówek, a także nasłuchując prześladowców. Drogę do skarbu wytyczały naturalne znaki - strumień, biały głaz, pagórek, a także ślady działalności istot rozumnych - ruiny starej fortecy, płaskorzeźba na skalnym zboczu, kamienne podpory dawno zwałonego mostu. Konnektus nanosił położenie tych miejsc na arkusz pergaminu, wykreślał jakieś linie, liczył kroki, czasem obracał się wokół własnej osi, spluwał przez lewe ramię lub podskakiwał na jednej nodze, wykrzykując: „Kacza zupa!”. Wszystko to było niezbędne, jak wytłumaczył mocno zdumionemu Darlanowi, aby odnaleźć drogę do skarbu. W czasie gdy bakałarz oddawał się swoim podejrzanym praktykom, Darlan bacznie obserwował las. Puszcza była spokojna. Zwierzęta zachowywały się normalnie, a cienie duszków, które przy dużym wysiłku potrafił dostrzec rycerz, sennie przemykały pomiędzy konarami. W pewnym momencie poszukiwacze natknęli się na obozowisko drwali. Stał tam niedawno zbudowany szałas, czernił się ślad po ognisku, na sznurkach suszyły jakieś szmaty. Darlan wiedział, że las wokół siedzib drwali nigdy nie odpoczywa. Nawet jeśli rębacze są przyjaciółmi puszczy i wycinają tylko te drzewa, w których nie mieszkają leśne duszki - zawsze obecność ludzi z siekierami niepokoi mieszkańców lasu. Tymczasem tu drzewa były tak samo ciche i uśpione jak gdzie indziej.

- Dziwne miejsce - mruknął Darlan. - Hej, hej! Czy jest tu kto?!

- Dlaczego dziwne? - spytał Konnektus. - Polana jak polana...

- Słyszałeś tych drwali? O czym rozmawiali? I w jaki sposób? Popatrz na to obozowisko. Tu jest taki porządek, jakby każdy z nich miał co najmniej trzy zrzedliwe żony.

- Masz rację - Konnektus nagle coś dostrzegł. - Podejdź tu! Patrz!

Na ścianach szałasów wycięto nożem dziwne znaki. Przypominały pismo, ale Darlan nie zetknął się nigdy z podobnym językiem.

- Może to symbole drwalskie. Wiesz, każdy cech zawodowy ma tajemne litery. Nawet żebracy i złodzieje posługują się własnym pismem.

- Wiem, wiem - powiedział Konnektus. - Ale pamiętaj, że ja trochę znam się na tym. To nie jest język drwali. Ale gdzieś już widziałem podobne symbole, tylko nie pamiętam gdzie...

- Witam szanownych panów! - rozległ się głos za ich plecami. - A cóż tu porabiacie szlachetni, ty, panie rycerzu, i ty, mister bakałarzu?

Odwrócili się gwałtownie. Spomiędzy drzew na polanę wyszedł zielarz. Na plecach miał worek wypchany jakimś sianem, u pasa wisiała mu mniejsza sakwa, z której wystawały suche kłaczka.

- A cóż to, szanowny panie - spytał grzecznie Darlan - za przeproszeniem cię w ogóle obchodzi?

- Nie denerwuj się, panie rycerzu, z przyjaźni pytam. I z troski. Nazywam się Jan Marcepan

Gibbonus. Jestem aptekarzem amatorem, czcicielem przyrody i wegetarianinem z powołania. Podróżuję po świecie, zbierając rzadkie zioła i przygotowując cenne, lecz absolutnie skuteczne leki na takie popularne dolegliwości, jak świnka, grypa, koklusz, kurzajki, duchoty, trudny charakter, wzdęcia i globus oraz wiele innych. To stanowi źródło mego dochodu, nie powiem, że dużego, ale ja nie dbam o majątek. Moim celem, moją idee fixe, jest, drodzy panowie, uświadamianie ludziom i innemu dwunogiemu plugastwu, jaką miłością należy darzyć przyrodę i piękny świat nas otaczający. I dlatego przybyłem do obozu tych barbarzyńców, którzy niszczą dziewiczą puszcę, by im wykład na ów temat wy-eksplikować!

- A nie sądzisz pan - odezwał się Konnektus - że ci dwaj drwale za pańską eksplikację pana po prostu w teb palną jakimś ciężkim przedmiotem?

- Dla mojej misji, drogi panie, jestem gotów do każdej ofiary, a cierpienie może tylko wzbogacić mą duszę i przydać jej jeszcze więcej szlachetności. Choć, szczerze mówiąc, i tak mam jej niemało. Mój obóz tymczasowy znajduje się nieco dalej na wschód, jakieś trzy tysiące kroków. Tam mieszkam, żywiąc się jedynie korzonkami i jagodami. Zatem ja przedstawiłem panom cele mej leśnej podróży. A panowie?

- My, panie Marcepanie, chodzimy sobie po lesie, bo szukamy grzybów. Nie szukamy natomiast towarzystwa. Dlatego też zaraz sobie stąd pójdziemy i prosimy, abyś pan za nami nie szedł.

- Nie miałem takiego zamiaru, Ja tu sobie na onych barbarusów poczekam. Mam tylko nadzieje, że nie zerwą panowie, więcej grzybów, niżli wam to do konsumpcji potrzebne? Byłaby to nieodwracalna dezintegracja środowiska naturalnego w tej okolicy...

- A żebyś ty się muchomorów nażarł! - warknął Konnektus, kiedy już zostawili zielarza za sobą. - Ale to nie on jest naszym wrogiem. Chudy on jak noga pająka i je wyłącznie zieleninę. Tfu! Ten, kto mnie w głowę walnął, ma taką krzepę, że wsuwa pewnie tylko niedźwiedzie sadło.

- Jak tam twoje punkty orientacyjne? - spytał Darlan. - Do południa nie zostało nam już wiele czasu.

- Powinniśmy znaleźć jeszcze długi rów, pozostałość po jakimś pradawnym kanale. On wskaże nam kierunek. Potem musimy iść, aż słońce stanie w zenicie. I to będzie ostatni ważny sygnał. Później zostanie nam tylko kilka prostych przekształceń i obliczeń. I mamy skarb!

- No dobra. Pamiętaj, że nie tylko my będziemy dysponować tymi danymi. Kto pierwszy wykona rachunki, ten pierwszy dotrze do skarbu. A nasz przeciwnik mógł tu przybyć wcześniej i przed nami określić położenie punktów orientacyjnych. Teraz czeka tylko na słońce. O, patrz, tam chyba jest ten rów!

Rzeczywiście, zarośnięty krzakami i w wielu miejscach zawalony kanał ciągnął się aż po horyzont. Ruszyli wzdłuż rowu, uważnie obserwując słońce. Południe było tuż-tuż.

Nagle Darlan usłyszał za plecami cichy, nienaturalny szelest zarośli. Nie zwolnił ani nie przestał rozmawiać z Konnektusem, ale natężył wszystkie zmysły, starając się określić liczbę przeciwników i

odległość, w jakiej się znajdują. Na pomoc przyjaciela nie liczył - wiedział, że bakałarze sprawdzają się tylko w bójkach z innymi naukowcami toczonych w czasie tak zwanych debat naukowych.

„Chyba jest tylko jeden... Jeśli się skrada przez gęste zarośla, to chyba nie ma napiętego łuku... Chyba...”.

- Wróg! - krzyknął Darlan do Konnektusa i wyciągnął miecz z pochwy. Odwrócił się błyskawicznie, skoczył w tę stronę, z której dochodził szelest. Krzaki zatrzeszczały i wypadł z nich niski szary kształt. „Karłupiec” - przemknęło przez głowę Darlana. Postać rzuciła się do ucieczki. Darlan był szybszy. Skoczył, uderzył intruza w plecy, tak że tamten potoczył się po ziemi. Rycerz już stał nad nim, przyciskając do gardła ostrze miecza.

- Panie, litości... - usłyszał cichy, przerażony głos.

- Do stu powodzi! Co ty tu robisz, Klimku?!

- Ja... ten tego... tamtego... to wszystko, panie Darlanie, było takie ciekawe, że ja musiałem, musiałem to zobaczyć... oj, teraz, jak się mama dowie, to będę miał... - chłopak gramolił się z ziemi. Twarz miał ze wstydu czerwona jak burak.

- Myślisz, że jeszcze nie wie, że cię w domu nie ma?

- Powiedziałem, że idę do lasu zbierać jagody na podwieczorek dla szanownych panów... No, ale jak się dowie, że ja panów śledziłem w lesie...

- Lepiej, żebyś się tu nie kręcił, Klimku. Teraz ten las to nie jest miejsce dla małych chłopców. Proponuję umowę: ty natychmiast wracasz do domu, a ja nie powiem twojej matce o całym wydarzeniu. Umowa stoi?

- Stoi! - piegowata twarz chłopca rozjaśniła się w uśmiechu. - To ja już lecę? Ale... co będzie, jak do domu bez jagód wrócę?

- Powiedz, że Jan Marcepan skonsumował wszystkie jagody w okolicy. Patrząc na tempo, w jakim pożera wszelką zieleninę, jest to bardzo prawdopodobne wytłumaczenie.

- To już lecę. I ten tego... tamtego... przepraszam! - i już go nie było. Wędrowcy ruszyli dalej.

- Mam złe przecucia, Darlanie - powiedział Konnektus. - Zmarnowaliśmy przez tego chłopaka sporo czasu. Południe nas zaskoczy daleko od miejsca, w którym powinniśmy się znaleźć. Niedobrze, zobacz, słońce prawie stoi w zenicie.

Darlan przyłożył dłoń do oczu, spojrzął w niebo.

- Słońce już jest w zenicie, Konnektusie. Określ kierunki i zaczynaj swoje obliczenia.

Uczony wyciągnął spomiędzy fałd swojego płaszcza drewnianą ekierkę, mosiężne wahadło na długim sznurku i garść pestek z dyni.

- Kiedy zuję - objaśnił Darlanowi - lepiej mi się myśli.

Konnektus przykucnął, rozłożył pergamin na ziemi, coś zaczął mierzyć i liczyć. Bujał wahadłem, mrucał przy tym pod nosem, czasami drapał się w ucho. Darlan krążył wokół niego, wypatrując wśród drzew ewentualnych przeciwników. Las był spokojny.

- Jeszcze chwila, jeszcze chwila - mrucał Konnektus. - Mam! Ruszamy w tamtym kierunku! Biegiem!

Mężczyźni popędzili przez las. Gałęzie drzew chlastały ich po twarzach, stopy ślizgały się na miękkim mchu, gęste krzewy przeszkadzały w biegu. Wkrótce las zaczął się zmieniać. Drzewa coraz częściej rozstępowały się, by dać miejsce wystającym z ziemi głazom, gdzieś otwierały się jamy, czerniły dziury do jaskiń. Parę razy stawali, by chwilę odpocząć i by Konnektus mógł sprawdzić kierunek. W końcu dotarli do długiego głazu leżącego na ziemi. Bakałarz krzyknął, by się zatrzymali.

- To chyba tutaj - spojrzał na swój plan. Ciężko oddychał, zmęczony długim biegiem. - Tak wynika z obliczeń. Bez nich byśmy go nie znaleźli, w tej okolicy są tysiące takich kamieni.

- Czego byśmy nie znaleźli? - spytał Darlan nieco zniecierpliwiony. Obszedł głaz, pukając go tu i ówdzie, kopnął ze dwa razy. - To przecież lita skała. Ani do niej wejść, ani podnieść!

- Lita albo i nie - spokojnie powiedział Konnektus. Podeszedł do kamienia. Patrząc na swoją kartkę, dotknął dłonią kilku miejsc. Wypowiedział parę obco brzmiących słów. Wreszcie obrócił się dookoła swojej osi, podskoczył na jednej nodze i krzyknął:

- Kacza zupa!

W tym momencie głaz zaczął się zmieniać.

Zniknęła szorstka, szara powierzchnia. Kamień stał się gładki i lśniący niby lustro. Nie był to jednak koniec przemiany. Po chwili na błyszczącej gładzi pojawił się zarys czterech linii, które wkrótce połączyły się ze sobą, tworząc prostokąt.

- To drzwi - szepnął Darlan. - Umiesz je otworzyć?

- Powinny to zrobić same - powiedział zadowolony Konnektus, a kiedy drzwi rzeczywiście zaczęły się otwierać, dodał: - Wiesz co, ja też myślałem, że ta „Kacza zupa” to jakiś żart.

Drzwi - kamienna płyta bez klamek i zawiasów - odkryły przed badaczami wnętrze skalnej kryjówki. W małej komnacie nie było żadnego przedmiotu ani sprzętu. Żadnego napisu czy rysunku. Nic. Pusto.

- Może to tylko przedsiónek? - spytał Darlan.

- Informacja nic o tym nie wspominała. Drzwi miały się otworzyć, a za nimi miał być skarb.

- Może ten, kto zrobił zapis na chuście, po prostu nie wiedział wszystkiego?

- To jest możliwe, ale... Zobacz, tu jednak coś było. Tylko cofnij się trochę, bo zasłaniasz światło.

Rzeczywiście, kiedy Darlan nieco się odsunął, też dostrzegł na podłodze ślad - nieduży prostokąt wyraźnie jaśniejszy od reszty skały.

- Coś stało tu bardzo długo. Jakaś skrzynia albo pudło...

- I jakby to coś niedawno zabrano. Spóźniliśmy się, Konnektusie.

- Wszystko stracone! I co ja, biedny, teraz pocznę? Jak ja to przeżyję?! - szacowny bakałarz popadł w desperację, zaczął marudzić i jęczeć.

- Nie przesadzaj, mój drogi. Wrócisz na uniwersytet i dalej będziesz się zajmował tym co zawsze, czyli językami dawnymi i jeszcze dawniejszymi! A na dyplom magistra zapracujesz sobie inaczej!

- Nie o dyplom mi teraz chodzi, a o honor! Ktoś trzy razy mnie napadł, spalił mi dom, guzów mi na czaszce nasadził, a ja nie mogę go ukarać!

- A, to zupełnie inna sprawa - Darlan klepnął rękojeść miecza. - Jeśli nie o skarb ci teraz chodzi, ale o sprawiedliwość, to służę pomocą! Drań ma nad nami przewagę. Jeśli dotrze do gospody, to pewnie porwie wszystkie biegacze, żeby nam uniemożliwić pościg. Jednak z moim wierzchowcem łatwo mu nie pójdzie. Ruszamy!

I znowu popędzili przez las. Tym razem biegli w stronę karczmy.

Nie dotarli do niej, bowiem znacznie wcześniej usłyszeli jakieś wrzaski i piski. Skręcili w ich stronę bez wahania. Po chwili ujrzeli dziwny widok.

Lasem biegło pięciu karłupców. Malcy wyciągali swe krótkie nogi, jak umieli. Ale - umówmy się - ciężko się biega po lesie z workiem trzy razy większym od siebie i z brzuchem, który w ciągu ostatniego dnia pochłoniął nieprzeliczoną ilość kaszy. Chyba tylko wielki strach dawał karłupcom siłę. Mieli się czego bać. Za nieszczęsnymi żarłokami, wyjąc, tupiąc i przeklinając, biegło dwóch brodatych drwali wymachujących wielkimi siekierami. Darlan pomyślał, że gdyby był karłupcem, to na pewno zaczęłyby się teraz trząść ze strachu.

- Stójcie, złodzieje! - wrzeszczeli drwale. - Oddawajcie skarb!

Darlan i Konnektus spojrzeli po sobie ze zdumieniem. A więc to tak? A więc w tej grze brali udział zarówno kartupcy, jak i drwale?!

Karłupcy nagle skręcili i biegli wprost na Darlana i Konnektusa. Mieli blade twarze i przerażone oczy. Worki na ich plecach podskakiwały - łup, łup - a Darlan dałby głowę, że na dodatek pod grubym płótnem coś jeszcze, samo z siebie, się porusza. Rycerz i bakałarz nawet nie zdążyli się cofnąć. Karłupcy dostrzegli w końcu nowych przeciwników. Tego było chyba za wiele jak na ich nerwy i siły. Zatrzymali się raptownie, zrzucili worki na jeden stos, sami usiedli obok niego. Ciężko

oddychali, a na ich twarzach malował się wyraz rezygnacji. Zasapani drwale również wyhamowali. Ale nie opuścili toporów. Spod czarnych krzaczastych brwi groźnie łypali to na karłupców, to na rycerza i bakalarza.

- A wy czego? - spytał jeden raczej niezbyt grzecznie.

- Co tu się dzieje? - Darlan odpowiedział pytaniem. Na pomoc Konnektusa w walce nie mógł liczyć. Tamtych było dwóch, wielkich i silnych jak tury. Ale on był rycerzem pasowanym osobiście przez króla, miał miecz i ukończył międzynarodowe szkoły fechtunku.

Tak, powinien bać się drwali. Ale oni powinni bać się jego jeszcze bardziej.

- Łapiemy złodziei - powiedział drugi drwal. Miał dziwny akcent, ale słowa wymawiał poprawnie. - Jesteście ich kumplami?

- Spotkaliśmy ich w gospodzie tak jak was - odpowiedział Darlan. - A wy tu nie przyszliście po to samo co oni?

- My? - zaśmiał się drwal, a jego czarna broda zafalowała.

- Panie - piskliwym głosem odezwał się jeden z karłupców. - Ratuj biedaków z rąk tych rzezimieszków! Napadli na nas, spokojnych kupców, i gonią po wertepach, jakbyśmy byli jakimiś zajęcami. Nie mamy nic wspólnego z żadną kradzieżą!

- To dlaczego się z workami po lesie włóczycie, co?

- A bo to już się włóczyć nie wolno? - parsknął karłupiec. - Kupcami jesteśmy. Zwąchaliśmy, że coś tu się ciekawego szykuje, to chcieliśmy pohandlować. Interes musi się kręcić, nie?

- Tylko swój towar masz, powiadasz, konusie? - drwal podszedł do worków. Wziął tobół, zajrzał do środka. Coś tam się znów pod płótnem ruszyło. Drwalowi twarz pobieląła, szybko odrzucił worek i cofnął się o dwa kroki.

- Faktycznie, skarbu nie ma! Jeśli nie oni - drwal spojrzał na Darlana - to znaczy, że to wy! Widziałem u was plany, widziałem, jak ten szkieletowały się czał pod oknem!

- Jaki szkieletowały? - zaperzył się Konnektus. - Na siebie popatrz, goblinoidzie! Nie znaleźliśmy skarbu! Skrytka w skale była pusta!

- No dobrze - spokojnie powiedział drugi drwal. - Teraz mamy dowód. Otwieraliście skrytkę!

- Ale nic w niej nie znaleźliśmy! - odparł Darlan. - A wy to co, niewiniątka? Tylko udajecie drwali. W karczmie język drwali naśladowaliście, ale wokół waszego obozu drzewa są spokojne. Coście za jedni?

Zapadła cisza. Niby-drwale spojrzeli po sobie, mocniej chwycili styliska siekier, zmrużyli oczy. Wiatr szarpał ich skołtunionymi, czarnymi włosami i brodami. Karłupcy cichutko i powoli, by

przypadkiem nie zwrócić na siebie niczyjej uwagi, zaczęli odpętać na boki. Oczywiście worki ciągnęli za sobą. Darlan wyciągnął miecz z pochwy.

- Ja wiem, co oni za jedni - głos Konnektusa przeciął ciszę. - Znaki na waszym szałasie to jest prastare pismo. I te wasze fryzury! Wy jesteście strażnikami skarbu. Jesteście potomkami plemienia Czarnobrodych.

Zapadła cisza.

- Dużo o nas wiesz, szkieletowały - powiedział powoli jeden z mężczyzn.

- To nie my zabraliśmy wasz skarb.

- W takim razie kto?

I wtedy gdzieś z boku, zza krzaków i drzew, rozległ się głośny, fałszywy i nieco piskliwy śpiew:

Podła zdrada to owada,

Gdy owada owad zjada.

Gwałtu! Rety! Biada! Biada!

Owad do obiadu siada!

Bierze nóż, aromat bada,

Sztuczną szczękę szybko wkłada,

Pożreć brata chce owada!

Wielka to owadów wada!

Śpiew stawał się coraz głośniejszy. Wszyscy - drwale, karłupcy, Darlan i Konnektus - jak zaczarowani wpatrywali się w szeleszczące coraz bliżej zarośla.

I nie znajdziesz na to rady,

Że owady żrą owady.

Nie pomogą maskarady,

szpady, zwiady czy roszady.

Więc strach co dzień pada blady

Na entomologów rady,

że troficzne te układy

stad owadów zniszczą składy.

Spomiędzy krzaków wprost na szykujących się do walki ludzi wymaszerował Klimek. W jednym ręku trzymał pęto kiełbasy, w drugim lniiany woreczek, fioletowo przybrudzony. Kiedy zobaczył drwalskie topory, od razu zamilkł.

- Ja... ten tego... tamtego... To mnie już nie ma! - odwrócił się, żeby dać dyla.

- Stój, Klimku! - głos Darlana zatrzymał go w pół kroku. - Co ty tutaj robisz?! Kazałem ci iść do domu!

- I szedłem, szedłem, panie. Ale po drodze znalazłem pole jagodowe. No to pomyślałem, czemu mam nie nazbierać? Mama będzie zadowolona. A potem znalazłem namiot, znaczy się czyjś obóz. To go sobie obejrzałem i... no... wziąłem sobie kawałek kiełbasy, bo od tego łożenia po lesie to żem zgłodniał. Mama odda.

- Co odda?

- No, kiełbasę. Więc to nie kradzież, tylko pożyczka. Temu chudemu zielarzowi. Bo to był jego namiot.

Darlan spojrzał na drwali. Ci od razu pojęli, o co chodzi.

- Roślinożerca! Miłośnik przyrody! Psia jego sierść! - wrzasnął jeden. - Oszust! Pewnie już się dobiera do wierzchowców przy karczynie! Biegiem!

- Co ja wiewiórka jestem? - rozmarudził się Konnektus. - Żeby co chwila po lesie ganiać! Albo dzik jakiś czy co?

- To Jan Marcepan zabrał skarb! To oszust! Biegnij i ty, Klimku, on tam może coś złego twojej mamie zrobić!

Cała gromada znów popędziła przez las. Wkrótce grupa zaczęła się dzielić. Z przodu pędził jeden z drwali, Darlan i chłopiec, nieco za nimi drugi drwal, a dalej karłupcy z workami (czy może worki z karłupcami) i Konnektus. Kiedy dobiegali już do samej granicy lasu, a między drzewami mignęły zabudowania, usłyszeli dochodzący od strony karczmy krzyk. Strachu, bólu i przerażenia.

- Mamo! - wrzasnął Klimek i przyśpieszył.
- To łajdak! - zdołał tylko wysapać Czarnobrody.
- Nie dam rady - wystękał Konnektus.

Na szczęście ich przypuszczenia nie okazały się słuszne. Kiedy wybiegli z lasu, zobaczyli taką oto scenę. Tuż przed stajnią stał troll pomnikowy. Zastygł w tradycyjnym bezruchu, na jego twarzy malował się uśmiech zadowolenia. U jego stóp leżała mała, lśniąca dziwnym blaskiem skrzynia. Jedną ręką troll podpierał się pod bokiem. Drugą miał wyciągniętą do przodu. W palcach, niczym w kamiennych kleszczach, tkwiła chuda szyja Jana Marcepana Gibbonusa. Fałszywy zielarz wił się, pokrzykiwał, okładał trolla pięściami, próbował rozewrzeć jego palce - bez skutku. W otwartych drzwiach stajni oberżystka uspokajała przestraszone biegacze, co jakiś czas odwracając się tylko do trolla i powtarzając:

- Trzymaj go, Gaptuś, trzymaj łobuza!

Wszyscy siedzieli w gościnnej izbie oberży, a gospodyni co chwila wносиła na stół nowe smakowitości (wszyscy oprócz Jana Marcepana, rzecz jasna, bo Galigapter ciągle się na niego gniewał i nie raczył go puścić). Gospodyni szybko opowiedziała, co zdarzyło się w gospodzie. Zielarz wbiegł tu zadyszany, pod pachą ściskając małą kolorową skrzynkę. Chciał wyprowadzić ze stajni biegacze, ale Darlanowy rumak się zaparł. Na ten rwetes przyszła gospodyni i próbowała udaremnić kradzież wierzchowców. Wtedy Gibbonus ją zaatakował. Nim ją schwycił, związał i zakneblował, zdążyła krzyknąć „Ratunku!”. Nagle ziemia łupnęła, rozległo się głośne westchnienie, szamoczących się ludzi przesłonił cień. Gibbonus spojrzał w górę i oblicze radykalnie mu się wykrzywiło. Chwilę później troll, który ruszył ze swego kilkudziesięcioletniego miejsca parkingowego, chwycił złodziejaska za szyję.

- No i tak go dalej trzyma, gangstera - zakończyła swą opowieść oberżystka. - Myślicie, szlachetni panowie, że puści go w ciągu najbliższych trzydziestu lat?

W międzyczasie Gibbonus przyznał się, że to on podejrzwał Konnektusa w akademickiej bibliotece. Szukał informacji o rzadkich ziołach, kiedy ujrzał, jak podekscytowany Konnektus wyciąga ze starej książki jeszcze starszy list. Potem śledził bakałarza, ukradł mu mapę i podpalił dom. Oczywiście to on także zaatakował nieszczęsnego akademika pierwszej nocy i związanego wrzucił do dołu.

Swoją historię opowiedzieli też Czarnobrodzi drwale, na wstępie przeprosiwszy Konnektusa za nocny atak - wzięli go po prostu za złodziejaska.

Byli ostatnimi potomkami dawnego ludu. Ich rodzina mieszkała daleko stąd, od pokoleń żyjąc w świecie, w którym o plemieniu Czarnobrodych nikt już nie pamiętał. Jednak zawsze, gdy jakiś człowiek natrafiał na trop skarbu, jeden ze starych rodzinnych amuletów sygnalizował to. Wtedy delegacja Czarnobrodych przybywała w okolice kryjówki skarbu i pilnowała tajemnicy. Ostatni taki wypadek miał miejsce dwieście lat temu. To wtedy została sporządzona notatka, którą Konnektus

znalazł na płótnie. Ówczesnemu poszukiwaczowi wysłannicy Czarnobrodych podrzucili sakiewkę z kilkunastoma starymi monetami i złotymi ozdobami. Wyjechał stąd przekonany, że odkrył prawdziwy skarb.

- A co naprawdę jest w tej skrzynce? - spytał Konnektus. - Musicie mi to powiedzieć!

- Wcale nie złoto - powiedział jeden z Czarnobrodych. - Ale coś od złota cenniejszego. Patrz.

Wymówił zaklęcie w swoim języku i wieko kufierka się otworzyło. W środku leżała księga.

- To kronika! - wyjaśnił. - Kronika Czarnobrodych! Przez tysiąc lat leżała w tej kryjówce zabezpieczona przed barbarzyńcami i upływem czasu. Tak dobrze strześliśmy historii naszego ludu, że wszyscy o niej zapomnieli. Czas to zmienić. Czas, żebyście dowiedzieli się, kim byli i jakich wspaniałych czynów dokonali w przeszłości nasi przodkowie. Chcemy ci podarować tę księgę, Konnektusie!

- Tę kronikę? Mnie? - bakałarz aż podskoczył na ławie. - Stara księga! Pradawna wiedza! Zaginiona cywilizacja! To skarb, prawdziwy skarb! Cenniejszy niż złoto i klejnoty!

- A co z wami, z waszym rodem? - spytał Darlan. - Kiedy oddacie księgę Konnektusowi, sens waszego życia zniknie. Utraciecie cel.

- Może tak, może nie. - Czarnobrody uśmiechnął się. - Czy myślisz, że spędzenie życia na ciągłym czuwaniu jest takie przyjemne? Ja na przykład zawsze chciałem mieć dużo czasu na malowanie obrazów.

- A ja uwielbiam łowić ryby - powiedział drugi Czarnobrody. - I teraz mam zamiar zająć się tym zawodowo, na całego.

Historie, w których na koniec wszyscy są zadowoleni (nie liczymy tu oczywiście szanownego Jana Marcepana, który, zdaje się, ciągle stoi na dworze), zdarzają się bardzo rzadko. Jednak czasem się zdarzają i to właśnie jest przyjemne w życiu.

Zaraz, zaraz! A dzielny troll pomnikowy, który udaremnił niecne knowania zielarza? Czy dalej będzie sterczał przy rzadko uczęszczanym trakcie i chudł z dziesięciolecia na dziesięciolecie?

- Mam pewien pomysł na rozwiązanie sprawy Galigaptera - powiedział Darlan, zegnając się z gospodynią. - Jak rozumiem, troll nie chce ruszyć do miasta, bo zawarł kontrakt z pani dziadkiem, a honor nie pozwala mu złamać przyrzeczenia? O ile dobrze zrozumiałem, pani nie podziela jego obiekcji.

- Jest dokładnie tak, jak szanowny pan mówi - kiwnęła głową oberżystka.

- No to niech pani złamie umowę! Niech to pani zerwie kontrakt i wymówi mu ten kawałek ziemi, na którym stoi.

- Jak to tak, szanowny panie? - chwilę zajęło jej zrozumienie pomysłu. - Aha! Jak ja mu

wymówię, to on nie będzie musiał wypełnić swojej części obietnicy i będzie mógł powędrować do miasta! To jest myśl!

- A więc do zobaczenia - uśmiechnął się Darlan i klepnął biegacza. Wierzchowiec powoli ruszył leśnym traktem. Jednak jeszcze przez dłuższą chwilę Darlanowi nie dane było zaznać leśnej ciszy. Od strony gospody dobiegały go bowiem głośnie narzekania gospodyni:

- Jakże to tak, malutkiego mojego Gaptuśka mam wyrzucić? Do miasta posłać? Od czterdziestu lat u nas stoi! I teraz co, z tego kawałka ziemi mam chudzinę wygonić? No tak, ale jak nie wyrzucę, to schudnie jeszcze bardziej...

Chwilami Darlan słyszał też okrzyki karłupców obskakujących Konnektusa:

- Pohandlujmy! Ty masz książkę, a my worki! Handel jest dobry! Trzeba się targować! Pohandlujmy!

I dalekie wrzaski wciąż stojącego w dość niewygodnej pozycji Jana Marcepana Gibbonusa:

- Puszczaj, ty granitowy osle, no, weź te paluchy! Ech ty...

Darlan się uśmiechnął. Był bardzo zadowolony, można by powiedzieć - szczęśliwy. Wszak dla błędnego rycerza od dobrze rozpoczętej przygody lepsza jest tylko przygoda dobrze zakończona.

NIEMA JAK TRADYCJA

Droga wiała się między wzgórzami, biegła przez dębowe zagajniki i brzozowe laski, przecinała małe strumyki, omijała pola. Czasami zbliżała się do ludzkich siedzib tak bardzo, że Darlan czuł zapach dymu z kominów. Było ciepło, a jesienne słońce zaczynało już złocić na drzewach liście. Darlan uwielbiał wędrować takimi pustymi i krętymi drózkami przy takiej właśnie pogodzie. W zasadzie nie miał konkretnego celu - przed zimą chciał dotrzeć do portów na morskich wybrzeżach. Nigdy tam jeszcze nie był, a słyszał wiele o świetności miast, w których można było ponoć zobaczyć wspaniałe budowle, kupców z dalekich krain i wielkie okręty.

Ostatnie miasteczko opuścił przed trzema dniami i od tego czasu spotkał tylko kilku wędrowców - wieśniaków idących w odwiedzinach do znajomych, zielarza szukającego leczniczych roślin, kupca gotowego sprzedać wszystko: od pasty do polerowania zbroi po płyn na porost rzodkiewek. Tym bardziej zdziwił się, gdy zobaczył ogłoszenie - biały arkusz pergaminu przybity do pnia wielkiego dębu. Drzewo było ogromne i musiało przyciągać uwagę każdego wędrowca. O ile jakiś wędrowiec w ogóle pojawiał się w tej okolicy. No i jeśli lubił czytać w kucki, bo pergamin umocowano na wysokości kolan.

Darlan zatrzymał swojego wierzchowca pod drzewem, zeskoczył na ziemię i przyklęknął. Na pergaminie jakaś niewprawna ręka wykreśliła kolorowe, choć powykrzywiane litery:

OGŁOSZENIE!

DO WSZYSTKICH BOHATEROW!

POSZUKIWANY BOHATER: ODWAŻNY, DOBRZE

ZBUDOWANY, BEZ WYSOKICH WYMAGAŃ

FINANSOWYCH I MAŁO UŻYWANY.

POTWÓR JEST STRASZNY I TRZEBA NAS URATOWAĆ.

OBEJDŹ TRZY RAZY DRZEWO I POWIEDZ „UMPA”.

Więcej słów nie zmieściło się na pergaminie, a to głównie z tego powodu, że każda koślawka litera zajmowała trzy razy tyle miejsca, ile powinna zajmować szanująca się litera jej wielkości. Na arkuszu można też było dostrzec kilka kolorowych plam farby. Na dole znajdowała się okrągła pieczęć z napisem: „DOPUSZCZONE DO RUCHU” i zygzakowaty podpis. Wokół pergaminu Darlan dostrzegł cienką smugę blasku, zupełnie jakby brzegi plakatu leciutko świeciły.

„Magiczny pergamin - pomyślał Darlan. - Zapewne postawiono tu czarodziejską bramę, a obejście drzewa i wypowiedzenie hasła jest kluczem. Bardzo ciekawe...”.

Darlan uznał, że powinien się zastanowić. Ogłoszenie kusilo - było dostatecznie tajemnicze i niebezpieczne, by każdy błędny rycerz natychmiast zapragnął rozpocząć przygodę. No, ale do nadmorskich miast nie zostało już wiele mil, droga przyjemnie wiła się między pagórkami, a jesienne słońce było doskonałym towarzyszem wędrowki. Co wybrać?

Darlan wskoczył na biegacza i z sakiewki wyjął złotą monetę.

- Niech los zdecyduje! - powiedział do wierzchowca. - Strona z podobizną cesarza Podpoleona: idziemy polować na potwora. Strona z nominałem: jedziemy nad morze.

Podrzucił monetę. Zabłysła w słońcu, na chwilę zawisła w powietrzu, po czym spadła wprost do otwartej dłoni rycerza. Darlan spojrzał na nią, mruknął „aha” i cmoknął na biegacza. Zwierzak szybko obiegł drzewo, a wtedy Darlan krzyknął „Umpa!”. Wierzchowca i rycerza otoczyła zasłona różowej mgły. Kiedy zniknęła, pod drzewem nie było już nikogo, a biały pergamin szerniał gwałtownie i rozpadł się na kawałki. Poprzez magiczną bramę Darlan wyruszył na tajemnicze wezwanie o pomoc. Tak bowiem zdecydował los.

Oczywiście warto w tym momencie wspomnieć, że dumny cesarz Podpoleon tak bardzo lubi podziwiać własną urodę, że bije wyłącznie monety ze swoją podobizną po obu stronach.

Las zniknął - Darlan stał na łące otoczony wysoką, sięgającą piersi trawą. Nie było to miejsce, w którym Darlan kiedykolwiek był albo o którym choćby słyszał. Przede wszystkim coś się mieszało w kolorach. Błękit nieba nabierał tu nieco seledynowej barwy, po stojącym w zenicie słońcu przebiegały fioletowe plamki, trawa była tak intensywnie zielona, jakby ktoś odmalował ją specjalnie na przywitanie rycerza. Wśród zielonutkich liści rosły kwiaty o wielkich, tęczowobarwnych kielichach, pośród których uwijały się owady o tłustych, kolorowych brzuskach i uśmiechniętych pyszczkach. Owady były zdecydowanie większe od tych, które Darlan widywał wcześniej, miały niemalże ludzkie rysy twarzy, a niektóre nosiły nawet przeciwsłoneczne okulary. Jeden z nich podleciał do Darlana, okrążył rycerza kilkakrotnie, w końcu nieruchomo zawisł w powietrzu.

- Pan z ogłoszenia? - spytał cichym głosem.

- Tak jakby - wymamrotał Darlan. Magiczne wrota musiały go przenieść bardzo daleko, kto wie, może nawet do innego świata. W żadnej z ksiąg, które przeczytał w czasach swojej młodości, nie było nawet wzmianki o tak dziwnych stworzeniach. Darlan wiedział bardzo wiele o smokach, minotaurach, rusałkach i grendelach. Ale o zielonobrzuchych trzmielach wielkości ludzkiej głowy, w okularach słonecznych i na dodatek w krótkich spodenkach z szelkami, nie pisano w żadnym ze starożytnych bestiariuszy.

- Ja tu na pana czekam - powiedział owad.

- Bardzo mi miło.

- Ale nie jestem zleceniodawcą - trzmiel pogłodził się po czułku. - Moją rodzinę zatrudniono do odszukania bohatera. Wie pan, czarodziejska brama nigdy nie przerzuca podróżnika dokładnie w oczekiwane miejsce. Magiczny efekt kwantowy.

- Oczywiście - Darlan pokiwał głową, jakby zrozumiał. - A daleko mnie odrzuciło?

- Na szczęście nie. Ale dość długo czekamy na pana. Cała moja rodzina lata po okolicy od kilku dni. Oczywiście rozliczani jesteśmy z trzmielodniówki, więc nie stracimy. Byłbym zapomniał, mam na imię Medard.

- A ja Darlan.

- Bardzo mi miło. Jak rozumiem, jest pan rycerzem?

- Owszem. To dobrze czy źle?

- Chyba dobrze. Wie pan, kogoś takiego szukali. Silny, z doświadczeniem i nie za drogi.

- Szukali? To znaczy kto?

- Jak to kto? Nadawcy ogłoszenia. Tuptuludki. O, właśnie idą.

Rzeczywiście, trawa za plecami Darlana zaszeleściła, po chwili rozległy się też ciche głosy -

nico podenerwowane, z lekka płaczące i cokolwiek marudne, ale sympatyczne. Przez długi czas Darlan nie mógł dostrzec nadchodzących istot, mimo że doskonale widział falujące czubki rozgarnianej przez nie trawy. Dlaczego tak się dzieje, zorientował się dopiero, gdy tuptuludki znalazły się tuż obok niego. Po prostu były bardzo małe, sięgały mu co najwyżej do połowy uda. Miały krótkie, tłuściutkie, nieco krzywe nóżki, małe dłonie o krągłych paluszkach i pyzate twarzyczki. Ubierały się w obszerne porcięta na szelki zdobione kolorowymi haftkami, mnóstwem zatrzasków i kieszeni. Na stopach miały sandały.

Tuptuludki skupiły się w kilkunastoosobowej gromadzie i zamilkły, wpatrując w Darlana swymi błękitnymi oczami. Tylko jeden szczegół nie pasował do łagodnego wyglądu tuptuludków. Każdy z nich ścisnął w rękę broń - kawałek kija, procę lub łuk. Kilku miało nawet pistolety na przysawkowe strzałki.

W końcu z gromady wystąpił tuptuludek, wyglądający na szefa.

- Wezwalesz nas, Medardzie.

- Tak, gdyż ten tu, wielkolud na biegaczu, twierdzi, że przeczytał wasze ogłoszenie. Poniekąd mu wierzę, bo na własne oczy widziałem, jak się razem z wierzchowcem pojawił nagle na tym kawałku łąki.

- Nazywam się Darlan - spokojnie powiedział rycerz, widząc, że tuptuludki są bardzo podenerwowane. - Przeczytałem ogłoszenie i jestem.

- Chłopaki, no - zniecierpliwiał się Medard. - Rycerz jak malowanie. Biegacza ma. Miecz ma. I wąsy. Dobrze mu z oczu patrzy. Bierzecie go czy nie?

- Zaraz, zaraz - Darlan trochę się zniecierpliwiał. - Ja nie jestem kozą, którą się kupuje na jarmarku. Ktoś ma kłopoty. Jestem gotów pomóc. Ale widzę, że to albo dowcip, albo, kto wie, może nawet prowokacja!

- Wybacz, szlachetny rycerzu - powiedział tuptuludek. - Masz rację, nie powinniśmy cię tak przyjmować. Ale nie jesteś pierwszym, który przybył tutaj, zapewniając, że chce nam pomóc. Kilku już było, a każdy okazywał się nie dość, że tchórzem, to jeszcze wydrwigroszem i złodziejaszkiem. Na ich transport w tę stronę i odsyłanie z powrotem zużyliśmy prawie całą magiczną energię naszej wioski. Już nawet zaczęliśmy likwidować ogłoszenia i wtedy ty się zjawiłeś. Chyba natrafiłeś na ostatnie z nich. Nie jesteśmy niegościnni ani źle wychowani. Po prostu mamy kłopoty. Straszne kłopoty. Na naszej ziemi pojawił się potwór, a my jesteśmy za słabi i za rlnali, by go pokonać. Bardzo cię przepraszamy, rycerzu.

- Pomogę wam pokonać potwora, ale musicie mi wszystko opowiedzieć - powiedział Darlan. - I zaufać, tak jak ja zaufałem waszemu ogłoszeniu.

- Oto nasza osada i nasze pola - powiedział dumnie dowódca. Tuptuludki uwielbiały długie i pokręcone imiona, a on jako ich szef miał oczywiście jedno z bardziej skomplikowanych. Zaczynało się tak: Absolutnie Rewelacyjny Bohater Umożliwiający Zwycięstwa.

- Możesz na mnie mówić Arbuz - zaproponował tuptuludek po prezentacji. - Szczerze mówiący czasami sam zapominam końcówki swojego imienia. No cóż, tradycja to tradycja.

Tuptuludki mieszkały na drzewach. Starsze i bardziej dystyngowane budowały swoje domki w potężnych konarach. Młodsze, bardziej skore do zabaw, konstruowały domy-huštawki podwieszane do gałęzi na grubych sznurach.

- Ostatnio dobrze nam się powodziło - objaśniał Arbuz. - Przyrost, ten, no, demograficzny był spory, a nowe wielkie drzewa nie rosną tak szybko. Stąd wzięła się moda na domki bujane, podwieszane do już zajętych gałęzi. W zasadzie mieszka się w nich całkiem przyjemnie. Chyba że... - zawahał się.

- Chyba że co? - zaciekawił się Darlan.

- Chyba że wiatr za mocno wieje.

- A nie możecie budować domków na ziemi?

- Na ziemi? - Arbuz wyraźnie się zdziwił. - Ziemia to nie jest miejsce dla przyzwoitego tuptuludka. Zresztą spróbuj zostać na noc na ziemi, mając osiemdziesiąt centymetrów wzrostu! Szybko skończysz w brzuchu wygłodniałego wilka.

- A mówiłeś, że ostatnio wam tu się dobrze powodziło i że żyliście bezpiecznie.

- No, od dwustu lat może tak. Ale wcześniej nasi przodkowie, dumne, ale niecywilizowane tuptuludki, musiały walczyć z wieloma przeciwnościami losu, zanim założyły swoje siedziby. Na noc najchętniej chowały się na drzewach. Więc to tradycja, panie rycerzu.

- Ale raczej niezbyt mądra, szczególnie w sytuacji wyżu, jak to raczyłeś ująć, demograficznego.

- Popatrzcie no - Arbuz trochę się zirytował - niby to, że wy, rycerze, jesteście tacy nowocześni! Te wasze tradycje to niby lepsze. Zobaczysz na wieży kawałek księżniczki, choćby paskudnej, i już musisz leżeć na górę. Smoka ujrzysz, to choćby był wegetarianinem, od razu musisz go kopią kolnąć! Zatrąbią gdzieś o turnieju, już galopujesz, żeby się z kolegami żelastwem po gnatach okładać. Każe ci ktoś to wszystko robić?! Nie. Tradycja!

- Poddaję się - mruknął Darlan. - Piękne macie te pola.

- To nasza duma. I źródło utrzymania. Kiedy je stracimy, to będzie koniec.

Tuptuludki trudniły się ogrodnictwem. Wokół drzewnego gaju, w którym znajdowały się ich domostwa, rozciągały się pola uprawne, sady i ogrody. Darlan widział grzędy pomidorowych krzaków o wspaniałych czerwonych owocach. Obok złościła się kukurydza, dalej pola buraków, rzepy, kapusty (kolorowe - bo tuptuludki z powodów estetycznych sadziły na przemian kapustę białą, czerwoną i zieloną). No i największa duma całej osady - pole dyni.

Dynia to skarb tuptuludków, największy ich przysmak, obiekt uczuć, wyzwanie dla hodowców,

materiał dla kolekcjonerów, natchnienie dla artystów. W panteonie tuptuludkowych sław figurowali farmerzy, którzy wyhodowali wielkie dynie, poeci, którzy o dyniach ułożyli najpiękniejsze wiersze, kuchmistrze potrafiący przyrządzić dynie na tysiące sposobów i obzartuchy, którzy tych potraw mogli zjeść najwięcej w czasie jednego obiadu (zazwyczaj przedłużanego po podwieczorek i do kolacji, a czasem nawet do następnego śniadania). Ostatnio na przykład wielką popularnością cieszył się przebój artysty o imieniu Strasznie Zazwyczaj Często Zawodzący Albo Wrzeszczący. Piosenka szła mniej więcej tak:

Na pagórku i w kotlinie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Niech nam dynia nie zaginie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Wśród przyjaciół i w rodzinie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Dynie w proszku, dynie w płynie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

W szkole, w domu, w maglu, w kinie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Oprócz dyni wszystko minie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

Na Wielkanoc! W Halloweenie!

Hoduj dynie! Hoduj dynie!

I tak dalej. Piosenkę śpiewali, gwizdali, pomrukiwali wszyscy - od małych tuptuludków ledwie co przyniesionych przez biedronki (bo tak właśnie tuptuludki pojawiają się na świecie) po starców przygotowujących się do przemiany w nasionko dmuchawca (bo tak właśnie tuptuludki znikają z tego świata).

Poznawszy znaczenie plantacji dyni dla dobrego samopoczucia tuptuludków, Darlan tym bardziej zrozumiał grozę sytuacji i desperację, z jaką mieszkańcy osady poszukiwali ratunku.

- Zobacz - Arbuż pokazał Darlanowi zniszczenia. - Każdej nocy kolejny kawałek naszej ziemi z urodzajnego pola przemienia się w taki ugór. To ślady łap i ogona potwora, a niech no tylko ktoś stanie mu na drodze...

Równa linia dyniowych grządek załamywała się. Ziemia była czarna i pobrużdżona. Walały się w niej zabłocone fragmenty dyń, strzępy pędów, połamane podpórkowe patyki i potrzaskane płatki. Pole we wszystkie strony przecinały głębokie koleiny, w ziemi tkwiło kilka lśniących i wielkich jak dłoń człowieka łusek, korę drzew przecinały ślady pazurów.

- To jego sprawka. Te zniszczenia, zmarnowane rośliny, zryte pola. Obsadzilibyśmy i obsiali je znowu, ale przecież następnej nocy on znów tu przyjdzie.

- Jak dawno pojawił się w okolicy?

- Rok temu. Wtedy nasi bartnicy natknęli się w puszczy na jego ślady. Początkowo nie opuszczała lasu. Potem jednak odkrył nasze pola i to, że jesteśmy za mali, żeby ich skutecznie bronić. Jest gigantyczny, gruboskóry i paszczekowaty. To najgorsza dla nas odmiana smoka. Dyniożarł!

- Dyniożarł?! - westchnął Darlan. - Słyszałem o tych potworach z pradawnych czasów. Rzeczywiście są bardzo niebezpieczne. Ale w moich stronach nie widziano ich od wielu lat.

- Twoje strony, rycerzu, są bardzo daleko. Kto wie, czy nie za siódmym morzem. Kiedy wysyłaliśmy naszych kurierów z plakatami poprzez utworzone w wiosce magiczne przejścia, staraliśmy się rozproszyc ich po całym znanym nam świecie. A także po jego okolicach. Czy to prawda, że niebo u ciebie ma dziwny błękitny kolor, a słońce jest po prostu żółte?

- Tak się złożyło, widocznie ktoś źle pomieszał farby - uśmiechnął się Darlan.

- To co, bierzesz tę robotę?

- Powiedz mi jeszcze coś o moich poprzednikach.

- Złodzieje, oszuści i tchórze! - oczy Arbuza roziskrzyły się gniewem. - Gdyby nie to, że my, tuptuludki, jesteśmy z natury łagodne, to marny byłby ich los. Wszystkich odesłaliśmy z powrotem...

Arbuż zamilkł na chwilę, po czym uśmiechnął się i wesoło mrugnął do Darlana.

- No, może niezbyt dokładnie w te same miejsca, z których do nas przybyli...

- A co z nagrodą?

Tuptuludek zasępił się.

- No tak, wiedziałem, że do tego dojdzie. Dlaczego wy, najemnicy, zawsze musicie popsuć miłą rozmowę, pytając o pieniądze?

- Może dlatego, że najemnicy pracują dla pieniędzy. Ale ja nie jestem najmitą, drogi Arbuzie. I

niekoniecznie o pieniądze mi chodzi. Jednak za dobrze wykonaną pracę należy się zapłata. Jeśli złamiemy tę zasadę, to nasz świat upadnie. Co więc proponujesz?

- Sam rozumiesz, rycerzu, jesteśmy rolnikami. Nie dysponujemy gotówką. Wszystko, co mamy, to nasze domy, pola i odrobina magii.

- W porządku. Oto moja oferta. Każdej zimy, kiedy u nas spadną śniegi, jadamy tylko chleb, kaszę i mięso. Wtedy zawsze mam największy apetyt na świeże jabłuszko i pomidorka. Ja pokonam dla was dyniożarła, a wy co roku w środku mojej zimy prześlecie mi magicznie dwa kosze pełne świeżych owoców i jarzyn. Co ty na to?

Oczy Arbuza zalśniły z radości. Wyciągnął do Darlana swoją małą łapkę.

- Niech będzie. A od siebie dodam, że zaopiekujemy się twoim biegaczem, jeśli dyniożarł cię... ten tego...

- Skonsumuje - uprzejmie dodał Darlan, patrząc, jak zachodzi dziwne, pomarańczowe, pokryte fioletowymi piegami słońce.

Nadchodziła noc, a wraz z nią czas potwora.

Dudnienie ziemi rozległo się jeszcze przed północą. Obudzone tuptuludki szybko naciągały swoje pumpiaste spodnie. Niektóre głośno chlipały, inne rozbiegły się po osadzie, zajmując wyznaczone wcześniej pozycje.

Darlan nie kładł się spać. Dlatego też niezbyt dużo czasu zajęło mu dopięcie zbroi, przypasanie miecza i wyprowadzenie ze stajni biegacza. Wskoczył na siodło. Biegacz zarżał ze strachu. Darlan uspokajająco poklepał go, podrapał za uszami, pogładził jedwabiste futro na szyi. Zwierzak wyraźnie się uspokoił. Towarzyszył wszak swemu panu w wielu niebezpiecznych sytuacjach i nigdy nie spotkało go nic złego.

- Ruszamy - powiedział cicho Darlan. - Tylko uważaj na maluchy.

Kiedy rycerz dotarł do granicy osady, obejrzał się za siebie. Tuptuludki biegały z pochodniami, ktoś płakał, ktoś inny krzyczał. Darlan dostrzegł też Arbuza. Wódz tuptuludków stał na konarze wysokiego drzewa. W rękę trzymał pochodnię i patrzył za odjeżdżającym rycerzem. Darlan pomachał mu ręką i zanurzył się między wysokie łodygi kukurydzy. Nie widział przed sobą drogi. Jechał tam, skąd dochodziły głośne porykiwania i gdzie ziemia trzęsła się najmocniej.

Na szczęście gęste łąny kukurydzy osłaniały rycerza przed wzrokiem i węchem potwora. Dzięki temu Darlan mógł podjechać bardzo blisko monstrum. Dyniożarł miał pięć metrów wzrostu i dziesięć długości. Na grubej mocnej szyi kołysała się duża głowa z wyłupiastymi oczami i wielką paszczką, w której lśnił rząd śnieżnobiałych zębów. Skórę pokrywały rzędy łusek, wzdłuż grzbietu rosły ostre kolce. Miał trzy niezgrabnie zaplecione warkoczyki i niezbyt równo przyciętą kozią bródkę. Stał na czterech łapach, ale przednie dwie były chwytne. Ciało dyniożarła było kolorowe, pokryte

różnobarwnymi smugami, jakby ozdobił je malarz z poważną wadą wzroku. Ogon sterczał do góry, a sam jego koniuszek lekko się wyginał. Do ogona przyczepione były łopoczące na wietrze chorągiewki.

Potwór właśnie żerował na dyniowym polu. Darlan słyszał szurgot przewalanej ziemi, trzask pękających dyń, mlaskanie wielkiego jęzora, posapywanie. Nagle rycerz zorientował się, że potwór także coś mówi - cichutko, pod nosem, niewyraźnie mamrocząc. Po pewnym czasie Darlan zaczął rozróżniać poszczególne słowa i zdania.

- Głodny, głodny! Tfu! Ale ohydne! Głodny, głodny! Uważaj na maluchy! Dynia, dynia, dynia! Tfu! Nie podepcz, nie podepcz! Nie łaźć pod nogami! Nie krzyczeć! Tfu! Dynia! Głodny, głodny!

Po wydeklamowaniu takiej kwestii potwór pochylał głowę, niczym łopatą nagarniał paszczą kilka dyń, pewnie ze dwa wiadra ziemi i mnóstwo kłączy. Żuł to, międlił w zębach, wreszcie wypluwał ziemię, kamienie i badyle. Potem znowu zaczynał marudzić,

- Tfu, tfu, tfu! Nie chodzić, nie straszyć! Zabrać dzieci! Co za dynia! Głodny, głodny!

Kiedy ruszał przed siebie, ziemia aż dudniła i ugięła się, doprowadzając zapewne do rozpacz i ostrego kryzysu mieszkaniowego okoliczne krety. Każdym kolejnym krokiem miażdżył grządki, a że nie chciało mu się podnosić za wysoko nóg, to rył w ziemi potężne bruzdy.

- Zły, zły! Co za kłopot! Dynia i dynia! Maluchy iść sobie!

Darlan chętnie pozostałby jeszcze w ukryciu, żeby móc dłużej obserwować stwora. Szukał na jego ciele słabszych, nieosłoniętych łuską miejsc, próbował ocenić, jaki zasięg mają zakończone pazurami łapy i jak sprężysty może być ogon. Jednak nie dane mu było dłużej pozostać niewidocznym obserwatorem. Oto dyniożarł zatrzymał się nagle, rozszerzył nozdrza i wywalił długi język. Jego szyja przez chwilę wyginała się na wszystkie strony, w końcu skierowała głowę w stronę zarośli, w których ukrył się Darlan.

„Wyniuchał mnie - pomyślał rycerz. - A więc do roboty!”.

Poprawił tarczę i pochylił kopię. Delikatnym ruchem pięt dał biegaczowi znak.

- Ruszaj! - krzyknął.

Tratując łodygi kukurydzy oddzielające go od dyniowego pola, wierzchowiec wypadł na otwartą przestrzeń. Pędził wprost na ciągle zdziwionego dyniożarła. Potwór zamarł w bezruchu. W jego wielkich, czarnych, błyszczących ślepiach nie było nic oprócz trwożliwego zdziwienia.

„Co tu się dzieje? Je się spokojnie dynie, a tu wylatuje takie nie wiadomo co, błyszczące, wrzeszczące, kolczaste! O co tu chodzi?!”.

Mały rozum dużego potwora zadrżał ze strachu.

A Darlan pędził w jego stronę, ostro pochylając kopię. Blask księżyca odbijał się od zbroi,

otaczając jeźdźca złocistą poświatą. Ostrze kopii wydawało się srebrnym żądłem wymierzonym w serce potwora. Przyłbica zmieniała twarz człowieka w dziwną i przerażającą maskę. Zaskoczony dyniożarł nie wytrzymał tego widoku. Najpierw zasłonił oczy przednimi łapami. Potem podkułił obwieszony chorągiewkami ogon, odwrócił się i zaczął uciekać. Sadził wielkimi susami, po których ziemia dygotała tak, że Darlan z trudem utrzymywał się na wierzchowcu.

- Nie chcę! Idź, rycerzu! Idź sobie! Bo cię zjem! - krzyczał dyniożarł, z każdym skokiem oddalając się od ścigającego go Darlana.

W końcu rycerz zrozumiał, że nie dogoni potwora. Zatrzymał zmęczonego biegacza i obserwował malejącą sylwetkę. W końcu zdecydował, że może wracać. Poglądził biegacza, podziękował mu cicho za odwagę i skierował wierzchowca ku osadzie. Tej nocy potwór więcej nie pojawił się na tuptuludkowych polach.

Darlana przywitały owacje i wiwaty, wkrótce rozległy się chóralne śpiewy (nie trzeba chyba dodawać, że ich głównym tematem była dynia). Tylko Arbuź nie przyłączył się do swoich świętujących przyjaciół. Kiedy Darlan został sam, wódz tuptuludków podszedł do niego i spytał:

- To nie koniec, prawda, rycerzu?

- Nie koniec - Darlan kiwnął głową. - Dziś go zaskoczyłem i przestraszyłem, więc uciekł. Ale wkrótce zastanowi się nad tym, co widział. Pewnie niejednego rycerza spotkał już w życiu. Jest duży i na pewno doświadczony. Poza tym będzie głodny, więc wróci na dyniowe pole. A wtedy tak łatwo już mi z nim nie pójdzie.

- A może wykopimy duży dół. Ty, panie rycerzu, wystawisz się jako przynęta. Jak cię zacnie gonić, to przeskoczysz nad rowem, on wpadnie, a wtedy...

- A może niech ciebie goni, co, Arbuź? Widziałem jego łapy. On wygrzebie się z każdego dołu, jaki potrafimy wykopać.

- Wiem, wiem, żartowałem. Nie widziałem lepiej zaoranego pola niż po jego przejściu. Jest w stanie przerzucić całą ziemię w naszej okolicy. Żeby jeszcze można tam było coś posadzić... ale przecież on i tak to zeżre.

- Zaorać, powiadasz - Darlan zamyślił się. - Wiesz co, mam pewien pomysł. Nie możemy czekać. To my musimy zaatakować potwora, póki jeszcze choć trochę się boi i nie wie, co tu się stało. Jutro rano wyruszam do jego siedziby. Zaatakuję dyniożarła w jego własnym domu.

Darlan dawno już zostawił za sobą urodzajne pola tuptuludków. Teraz wędrował przez bezkresny step, taki sam, na jakim wylądował w tej krainie. Tyle tylko, że od najbliższego zielonego źdźbła dzieliło rycerza nie mniej niż trzydzieści kroków. Darlan jechał bowiem samym środkiem pasa trawy wydeptanej przez dyniożarła w czasie conocnych ekspedycji na pola tuptuludków. Darlan był nawet zadowolony.

- Nie muszę go tropić. Ten ślad sam mnie do niego zaprowadzi.

- Co pan, panie, toż to katastrofa, zagłada, Armagedon! - pokrzykiwał wtedy lecący obok głowy Darlana trzmiel Medard. Co chwila zsuwał z nosa przeciwsłoneczne okulary, żeby lepiej przyjrzeć się zniszczeniom. - To jest kryminalna sprawa. Pan wie, ile kwiatów on podeptał, ile owadów straciło dach nad głową, pracę i źródła żywności? Oooo, teraz to lecę z panem nie tylko za pensję. Teraz to sprawa honorowa, jakem trzmiel! - Medard gniewnie strzelił szelkami od spodenek i zabzyczał.

Arbuz uznał, że lepiej będzie, gdy z Darlanem poleci ktoś, kto w razie czego będzie mógł szybko wrócić do miasteczka i powiadomić tuptuludki o przebiegu wypadków. Rycerz zgodził się na tę rozsądną propozycję, tym bardziej że towarzystwo gadatliwego trzmiela bardzo mu odpowiadało.

- Jak duża jest ta wasza kraina? - spytał.

- Oj, wielgachna, drogi panie, wielgachna. Ciągnie się z północy na południe, a dodatkowo ze wschodu na zachód, wyobrażasz pan sobie? I wszędzie trawa. Tylko gdzieniegdzie rosną lasy, w których mieszkają tuptuludki. Oczywiście każde miasteczko jest otoczone polami. Nam, owadom, to nie przeszkadza. Nektar z ogrodów i sadów to dobre uzupełnienie diety.

- A jakieś granice, sąsiedzi?

- No są, a jakże. I granice, i sąsiedzi. Koło mnie mieszka na przykład jeden hałaśliwy motyl. Wieczorami grywa na tej swojej zawiniętej trąbce. Po godzinie dwudziestej drugiej! Mówię panu, co za sąsiad! Całkowicie przekracza granice dobrego wychowania, nie sądzisz pan?

Po dłuższej pogawędce Darlanowi udało się zdobyć nieco geograficznych danych. Trawiasta równina rozciągała się podobno we wszystkie strony tak daleko, że Medard nie znał nikogo, kto dotarłby do jej granic. Legendy mówiły, że daleko na wschodzie step styka się z morzem, na północy z górami, na zachodzie z pustynią, a na południu z czymś białym i twardym, czego w tych okolicach nigdy nie widziano. Darlan domyślił się, że chodzi o lodowce. Jeśli ten opis był prawdziwy, to znajdował się na bardzo odległych terytoriach, których nie odwiedził wcześniej nikt z jego świata.

- I co, nie macie tu wrogów, wojen, królów?

- Kiedyś był jeden król. Taki tuptuludek, naczytał się starych książek, tfu, zawsze mówiłem, że z tego czytania to tylko nieszczęścia. Po co na przykład porządnemu trzmielowi czytanie? No więc ogłosił się królem. Najął całą bandę jeży, żeby go strzegły i porządku pilnowały. Koronę sobie zrobił i berło. Od razu wydał rozporządzenie, żeby tuptuludki kłaniały się mu i mówiły „wasza wysokość” albo „miłościwy panie” czy jakoś tak. No i wszyscy chodzili, kłaniali się i mówili, jak kazał. Co król, to król. Fajnie mieć króla. Tyle że w pewnym momencie się okazało, że te jeże wyzerają tuptuludkowe konfitury i kiszoną dynię. No, szanowny panie, tuptuludki są łagodne, ale jak ktoś im ruszy kiszoną dynię... Zaraz pogoniły jeże, a króla poszły do kopania rowów melioracyjnych. A z korony i berła zrobiły zegar słoneczny. Raz w tygodniu, na godzinę, dwie, sądzę, można by takiego króla skądś wypożyczyć i mu się kłaniać. Ale częściej - szkoda czasu. Tyle że u nas w okolicy królów jakoś nie ma ani na stałe, ani do wynajęcia. A tam u ciebie, panie rycerzu, dużo ich?

- Paru by się znalazło - mruknął Darlan coraz bardziej zdziwiony światem, w jakim się znalazł. A

jednak mieszkańcy tej krainy, choć tak odmienni, wydawali mu się bardzo sympatyczni. Może zresztą nie byli tacy inni. Przecież wiedzieli, kim jest i czym zajmuje się błędny rycerz. No i władali tym samym co on językiem.

„Może to dzięki temu świat jest ciekawy, że żyją w nim różne istoty, które mają odmienne tradycje i obyczaje. Gdyby wszyscy byli tacy sami, to pewnie byłoby nudno”.

- To już bliźniutko, patrz pan - Medard wznosił się wysoko ponad głowę Darlana, więc pierwszy zobaczył szczyty wyłaniających się zza linii horyzontu pagórków. - To nie są duże góry. Cierpliwa rodzina kretów przekopałaby je w dwa pokolenia. Ale nam dotychczas wystarczały. Jak ktoś się chciał powspinać, to tu przychodził. Jak ktoś chciał model latającej maszyny wypróbować, to tu łamał sobie gnaty. A jak się czasem zdarzyło, że w porze deszczowej potop był, tośmy się tu wszyscy chronili. Widać wystarczyły i te pagórki dla tego dyniożarła, a żeby wyłysiał paskudnik!

W końcu i Darlan dostrzegł trzy wzgórza łagodnie wznoszące się ponad łąką. Kiedyś były zapewne całe porośnięte trawą. Teraz ich stoki zbrunatniały, zszarzały, spod zdartej łapami dyniożarła ziemi wyłoniła się goła skała.

- Tam, za tym najwyższym wzgórzem, jest kotlinka. Trochę drzew, strumyk z czyściutką wodą. Pewnie tam sobie paskudnik uwił gniazdko. Ech, co ja z tych nerwów plotę? Gniazdko? Raczej gniazdo. Gniazducho! Gniazduszysko!

- Sza! - Darlan przyłożył palec do ust. - Jesteśmy na terytorium wroga. Zarządzam ciszę w eterze!

- W czym, szanowny panie? - Medard zawisł tuż przed twarzą Darlana. Rycerz chwycił go ręką za szelki od spodni i przyciągnął do siebie.

- Masz być cicho, przzerośnięty szkodniku! Cicho! Albo fruwać stąd!

- Dobra, dobra - wymamrotał Medard, a kiedy Darlan go puścił, odskoczył na bezpieczną odległość i poprawił pogniecione portki. Po czym cichutko zaczął: - I może prosiłbym, szanowny panie, przyzwoitego trzmiela nie wyzywać od...

Zamilkł stropiony groźnym spojrzeniem Darlana, ale jeszcze bardziej tym, że z oddali dało się słyszeć posapywanie. Jeszcze ciche, jeszcze odległe, ale bez wątplenia wskazujące miejsce pobytu wroga.

Wróg leżał na plecach i drzemał. Faktycznie urządził sobie legowisko w przyjemnej kotlinie, ocienionej wysokimi sosnami, przeciętej chłodnym i krystalicznie czystym strumieniem. Dyniożarł spał, poświstując przez nos. Przednie łapy miał złożone na brzuchu, oczy zasłonięte błoniastymi powiekami, ogon z chorągiewkami owinął sobie wokół prawej nogi. Pod głowę włożył wielki zielony plecak wypchany owalnymi kształtami. Darlan domyślił się, że to dynie zbierane przez potwora na zapas.

- Śpi w dzień - szepnął Darlan do Medarda. - W nocy rabuje.

- No, to trzeba go podejść - podpowiedział trzmiel - i dachnąć czymś ostrym. Idealna okazja.

- Nie mogę atakować śpiącego. To sprzeczne z rycerskim honorem - mruknął Darlan.

- A zwiewanie w podskokach nie jest sprzeczne z rycerskim honorem? - zaprotestował Medard. - A tylko to ci pozostanie, kiedy on się obudzi!

- Mój drogi, co innego ustąpić z pola walki na z góry upatrzone pozycje, a co innego niczym zbój napadać na przeciwnika. A jeśli mu się teraz śni coś miłego?

- Faktycznie, może mu się śnić. Popatrz, panie rycerzu, na jego gębę. Wyraźnie uśmiechnięta. Może mu się śni właśnie, że cię zjada na drugie śniadanie. Z serem. I posypanego koperkiem. No, idźże i dźgnij go tym mieczem! Co za durne obyczaje i skrupuły!

- Nic nie rozumiesz, drogi Medardzie. To, co czyni rycerza rycerzem, to właśnie obyczaje i skrupuły. Jeśli przestaniemy przestrzegać zasad, to staniemy się bandą najemnych żołdaków, gotowych na wszystko, byle za odpowiednią cenę. Tradycja, Medardzie, to ona czyni nas tym, kim jesteśmy...

Darlan zeskoczył z biegacza. Pogłaskał rumaka po pysku, coś mu szepnął do ucha.

- Zostańcie tu - powiedział do trzmiela. - Obserwuj wszystko. Gdybym miał kłopoty, zabierz biegacza i wracajcie do miasteczka!

Wyciągając z pochwy miecz, Darlan ruszył w stronę śpiącego potwora.

- Dobra, dobra. No, wreszcie się zdecydowałeś, szanowny panie. Kolnij go, kolnij. Tylko po cichu idź, żebyś go nie obudził! Zaraz! Co ty robisz? Co ty najlepszego wyprawiasz?!

Darlan zatrzymał się o dziesięć kroków od dyniożarła, po czym krzyknął:

- Ej! Paskudo! Pobudka! Czas na mały pojedynek!

Ziemia zadygotała, gdy potwór poderwał się ze snu. Stał na czterech łapach, ogon postawił na sztorc, szeroko otworzył paszczę. Z jego oczu zniknęły ostatnie mgiełki snu.

- Jestem Darlan! Błądny rycerz! Obrońca tuptuludków! Wyzywam cię na pojedynek!

Dyniożarł warknął. Kropla śliny skapnęła z jego pyska na ziemię, tworząc kałużę, którą średniej wielkości żaba mogłaby wykorzystywać jako basen kąpielowy.

- Tfu! Znam cię, znam cię! - krzyknął potwór, - Dlaczego przyszedłeś? Po co przyszedłeś?! Uwaga na małych ludzików! Nie podeptać!

Darlan skoczył do przodu, kolnął mieczem. Ostrze trafiło w łapę potwora, ale odbito się od opancerzonej skóry. Darlan cofnął się, ciał jeszcze raz. Tym razem potwór zrobił unik z szybkością, jakiej nikt nie spodziewałby się po tak wielkim stworzeniu. Jego łapa przemknęła obok głowy Darlana.

- Odwróć się, kudłaty - powiedział Medard do biegacza. - Lepiej na to nie patrz.

Rycerz znów zaatakował. Szybkim pchnięciem trafił potwora w nos. Zabolało, bo dyniożarł ryknął gniewnie. Podmuchał zachwiały Darlanem, ale rycerz zdołał zadać drugi cios. Tym razem potwór nie poczuł. Jego ogon niczym długi bicz wygiął się i ze świstem przeciął powietrze. Trafił Darlana w pierś. Rycerz przewrócił się, przekoziółkował, upadł na plecy.

- Wiesz co, kudłaty? - powiedział Medard. - Ja też się odwrócę. Razem nie będziemy na to patrzeć.

Darlan jednak poderwał się. Stał w pewnej odległości od potwora, z wyciągniętym do przodu mieczem. Magiczne, wykute przez plemię Hefajstów ostrze lśniło w słońcu. Dyniożarł przestępował z nogi na nogę, gniewnie posapując.

- Dynie i dynie, tfu! Znowu rycerz! Uważaj pod nogi! Są malutki!

Darlan się zawahał.

- Kto jest malutki, potworze?

- Ludziki, małe. W spodniach.

- Dlaczego mam na nie uważać? Ich tu nie ma.

- Nie ma, nie ma. A może są takie małe, że ich nie widać. Ja nie chcę ich zdeptać.

Darlan opuścił miecz.

- Ty, kudłaty - szepnął Medard. - Może byś tam łypnął jednym okiem? Tak ostrożnie, co?

- Nie chcesz podeptać tuptuludków? - spytał Darlan.

- O! Właśnie! Tuptuludków! One małe! One robić dobre warzywa. Tfu i dynie. Ale one dobre. Nie chcę ich płaczu!

- To dlaczego niszczysz ich pola?

- Głodny! Głodny! Mam duży brzuch, duży pusty brzuch. Muszę jeść warzywa. Dużo jarzyn. A przede wszystkim dynie. Taka tradycja, przecież jestem dyniożarł, nie? A ja nie znoszę dyni, tfu! Dynia niedobra.

- Nie mogłeś jakoś się z nimi dogadać? Musiałeś napadać na ich pola?

- Ja jestem dyniożarł! Prawdziwy dyniożarł! Nie wiesz, że dyniożarły wymarły! Na świecie jest nas kilka albo jeszcze mniej. Nie ma, nie ma dyniożarłów! - potwór zaczął chlipać. Ogon mu oklapł, chorągiewki zwisały smętnie, a łapy zaczęły drżeć.

- Ejże, nie płacz, dorosły chłop jesteś - poprosił Darlan.

- Jak mam nie płakać? - smętnie spytał powtór. - Dziadek mówił: „Dyniożarł nie prosi! Dyniożarł bierze, co chce! To nasza tradycja, wnusiu! Nie możesz jej łamać”. Tak mówił, „Wnusiu!” - dyniożarł zachlupał jeszcze bardziej. - I jak to się skończyło? Wszyscy moi krewni atakowali, grabili i pożerali. To naroiło się was, rycerzy, więcej niż mrówek. I teraz piękne skóry moich krewniaków wiszą nad kominkami w królewskich zamkach!

„Szczerze mówiąc - pomyślał Darlan - zważywszy na wzór waszych łusek, skóry twoich krewniaków zdobią co najwyżej pokoje gościnne dla ubogich i zrzędlivych ciotek” - ale uznał, że nie jest to najwłaściwszy moment na objaśnianie dyniożarłowi złożonego problemu ludzkiego poczucia estetyki.

- A ja nie chciałem! Ani grabić! Ani pożerać! Ani deptać! Ja nawet dyń nie lubię! Najbardziej lubię rzepę...

- To dlaczego napadałeś na pola tuptuludków i niszczyłeś ich dynie?

- Bo jestem dyniożarł! Tak każe moja tradycjaaaa... - zawył i rozryczał się na dobre.

- Wiesz co, kudłaty? - powiedział Medard do biegacza. - Może jednak powinniśmy powiadomić miasteczko, że rzeka wkrótce podniesie swój poziom i że polom tuptuludków grozi teraz potop?

Darlan siedział w fotelu w huśtawkowym domku należącym do Arbuza. Wiatr nieco bujał liną, więc mieszkanie kołysało się miarowo, co nie wprawiało żołądka Darlana w dobry nastrój. Przez szerokie okno rozpościerał się widok na pola uprawne. Kilkadziesiąt tuptuludków mozoliło się na grządkach kapusty - pełło chwasty, pucowało kapuściane głowy specjalnymi szczotkami, dokonywało pomiarów największych okazów. W miarę jak domek kiwał się na linie, Arbuz pokazywał Darlanowi kolejne fragmenty pól.

- Tam mamy zagony z rzepą. Zobacz, skierowaliśmy na nie specjalne ekipy. Od tej pory musimy sadzić więcej rzepy.

Domkiem znów bujnęło.

- Chyba będziesz musiał mnie szybko odesłać z powrotem. Wytrzymałem spotkanie z potworem, wytrzymałem kilkudniowy zieleninowy wikt, wytrzymałem nawet towarzystwo tego gadatliwego trzmiela - Darlan wskazał na unoszącego się w kącie Medarda - ale obawiam się, że mieszkania w pokoju huśtającym się przy każdym podmuchu wiatru dłużej nie wytrzymam.

- Wiele się nauczyliśmy przez te parę dni - powiedział Arbuz z uśmiechem. - Dawne obyczaje i tradycja pomagają nam zachować poczucie własnej godności i pozwalają nam pamiętać, kim jesteśmy. Ale czasem mogą też przeszkadzać w dokonywaniu dobrych wyborów. Zanim odrzuci się jakaś część tradycji, trzeba się dobrze zastanowić, żeby nie uczynić głupstwa. Jednak trwanie przy niej bez względu na okoliczności też może nie być za mądre. Kiedy pierwszy raz zobaczyliśmy

dyniożarła, od razu próbowaliśmy go zaatakować i przepędzić z naszych pól. On z kolei uznał, że jako prawdziwy dyniożarł musi niszczyć naszą ziemię i konsumować nasze dynie. A przecież od razu mogło być tak, jak jest teraz...

Domek obrócił się znowu i Darlan zobaczył odległy kawałek pola. Grupka tuptuludków budowała tam duży budynek - w sam raz na nocygowsko dla dyniożarła. Nieco dalej pracował przysły właściciel tej chaty. Swoimi wielkimi łapami orał ziemię. Ogon dumnie sterczał mu do góry, a siedem nowych kolorowych chorągiewek łopotało na wietrze. Wokół dyniożarła kręciło się kilkanaście małych sylwetek. Część obsadzała zaorane przed chwilą pole, a reszta podkarmiła stworą świeżutką rzepą.

- W ciągu jednego dnia potrafi zaorać więcej ziemi niż my wszyscy w ciągu tygodnia. Pomoże nam budować tamy na rzece i kanały nawadniające. My w zamian za to będziemy się nim opiekować, hodować dla niego rzepę i szyc piękne chorągiewki na jego ogon. I zbudujemy mu dom. Wiesz, rycerzu, że to pierwszy od stuleci dom, jaki tuptuludki stawiają na ziemi, nie na gałęzi? Na razie zamieszka w nim dyniożarł, ale kto wie, skoro jest tu już tak bezpiecznie, może i my powinniśmy zejść z drzew? Tu rzeczywiście bardzo kiwa...

Darlan się uśmiechnął.

- Na mnie już czas. Chętnie zostałbym u was dłużej, ale przed zimą chcę dotrzeć do nadmorskich portów...

- Wiem, już przygotowałem czar powrotny. Wystarczy, że go wymówię, a ty i twój biegacz znajdziecie się koło drzewa, na którym wisiało ogłoszenie.

- Mam jedno pytanie - wtrącił się Medard. - Czy w twoim świecie żyją trzmiele?

- I owszem, szanowny panie - Darlan kiwnął głową. - Ale są zdecydowanie mniej gadatliwe i takie, o, takie malutkie.

- Phi - mruknął Medard. - W to, że nie są tak gadatliwe jak ja, skłonny jestem uwierzyć. Ale że są tak małe jak koniec twojego kciuka, no, panie rycerzu, tego mi nie wmówisz!

- Do zobaczenia! - powiedział Arbuz, po czym wymówił zaklęcie. - Apmu!

- Do zobaczenia! - krzyknął Darlan, gdy obraz tuptuludkowego domku zaczął się rozmazywać przed jego oczami. Z daleka dobiegł go jeszcze głos Arbuza:

- Zapomniałem ci powiedzieć! Jesteśmy ci tak wdzięczni, że oprócz ustalonej opłaty będziemy ci przysyłać piękną dynię na każde święto Halloween!

Mgła zniknęła. Darlan siedział na swoim biegaczu dokładnie na wprost wielkiego dębu, przed którym zatrzymał się dwa dni wcześniej. Po plakacie nie było śladu. Zwykle żółte słońce świeciło na normalnym błękitnym niebie. Rycerz przez chwilę przyglądał się drzewu, szukając śladów magicznej bramy.

„Halloween, a cóż to znowu za święto? To chyba jakaś nowa tradycja? I do czego potrzebna jest wtedy dynia?”.

Darlan pokręcił głową, westchnął ciężko i łagodnie poklepał biegacza po szyi. Czas ruszać w dalszą drogę. Przed zimą mieli dotrzeć do nadmorskich portów, by oglądać wspaniałe budowle, spotykać niezwykłych ludzi i słuchać ciekawych opowieści. Przed nimi była jeszcze długa podróż.

Jeździec powoli zniknął za drzewami. Las wkrótce zapominał o jego obecności i o magii, która nie tak dawno dotknęła tego miejsca. Przez ścieżkę przekicat młody zajęczek, nieopodał zastukał dzięcioł, gromada mrówek uparcie transportowała w stronę kopca martwą gaśienicę. Stary wielki dąb szumiał spokojnie, zadowolony ze swego statecznego życia, a pośród jego liści cicho brzęczały pracowite trzmiele.

ZIMNA ZIMA

- Zima, mój kudłaty przyjacielu, to piękna pora roku - powiedział Darlan do swojego wierzchowca. Ten zadarł łeb i spojrzał na rycerza zdumionymi oczami. - Ma tylko jedną wadę: zima jest zimna! Wierzchowiec parsknął radośnie, zadowolony, że jego pan ma jednak to samo zdanie o zimie co i on. Mimo że zielone futro biegacza zgęstniało jak zwykle o tej porze roku, to jednak zwierzakowi nie w smak były nadciągające mrozy. Zimą przyzwoity biegacz powinien stać w ciepłej stajni, mieć pod nosem stos siana i worek suszonych śliwek, a w sąsiedztwie miłe towarzystwo innych biegaczy. A także - nie żałujmy sobie! - jeszcze jeden worek suszonych śliwek. Tak by pewnie było, gdyby w porę dotarli do celu swej podróży - jednego ze wspaniałych nadmorskich miast portowych. Ale rycerz oczywiście nie mógł jechać prosto! Co chwila zmieniał marszrutę, by zajmować się tymi wszystkimi rzeczami, które tak pasjonują błędnych rycerzy, a które strasznie irytują ich wierzchowce.

„Czy szanujący się rycerz musi nieustannie wydobywać z opresji rusałki, kurzymisie i tycinózki? A jeśli już ma taką ochotę, to czy na wszystkie akcje musi zabierać swojego biegacza?”.

Wierzchowiec wcale nie był o tym przekonany, ale nie miał wyjścia - wszak biegacz nie po to wybiera sobie jeźdźca, by go potem zostawiać w potrzebie, prawda?

Najgorsze w tym wszystkim było to, że tak naprawdę zima jeszcze nie nadeszła. Był koniec listopada, a pogoda zmieniała się bardzo szybko. Jeden dzień mrozów, następny gorący. Rano śnieg, a popołudnie słoneczne. Najpewniej połowa nadwornych meteorologów porzuciła swój zawód, aby zająć się jakimś bardziej rozsądnym i przewidywalnym zajęciem, jak na przykład wrózeniem z włosów chomika czy poradnictwem sercowym dla dwórek.

- Ech, drogi kudłacz - mruknął Darlan, chuchając w zgrabiące dłonie. - Szkoda, że nie zabraliśmy ze sobą tego gargukmoka, cośmy go ostatnio sprowadzili z drogi występku na ścieżkę moralnego rozwoju. Zionąłby nam teraz ogniem i od razu byłoby cieplej.

Darlan wspominał swój ostatni rycerski sukces. Gargulcmok grasował w małej wiosce położonej w środku lasu. Stworzenie nie było ani duże, ani ładne, czyli spełniało wszystkie normy gargulcmokowej urody. Ot, coś jakby wiewiórka z błoniastymi skrzydłami i mocno paskudną facją. Tradycyjnie było też bardzo towarzyskie. Osiedliło się w wiosce i postanowiło zaprzyjaźnić z jej mieszkańcami. Niestety, gargulcmoki okazują sympatię tylko w jeden sposób - usiłują dać buziaka w policzek. I tu pojawiają się aż dwa problemy - gargulcmoki są tak brzydkie, że nawet przyszczate trolle niechętnie się z nimi przyjaźnią. A poza tym gargulcmoki przy każdym wydechu strzelają z pyszczków małym, błękitnym płomykiem ognia. Czy można się dziwić, że wieśniacy niezbyt tęsknili za powitalnymi buziaczkami gargulcmoków? Najbardziej cierpiał wioskowy fryzjer, który pierwszego dnia gargulcowej wizyty stracił niemal połowę klientów. To znaczy wszystkich tych, którym ognisty oddech spalił włosy i brody. Jediną zadowoloną osobą był sklepikarz, któremu gwałtownie wzrosły obroty w asortymencie gąbek i pasty do glansowania.

Darlan schwytał gargulcmoka, przeprowadził z nim poważną rozmowę, a następnie nawet pozwolił się pocałować. Oczywiście najpierw założył hełm. Stworzenie okazało się nad wyraz pojętne. Obiecało poprawę, postanowiło zadbać o wygląd, a na koniec najęło się u kowala jako spawarka. Zadowolony Darlan mógł więc spokojnie wyruszyć w dalszą drogę.

Zima, niestety, nie czekała i od kilku dni złośliwie napastowała wędrowców.

- Ale zimno! - znów mruknął Darlan. - Ale zimno! Jak to można wytrzymać?!

- Ale ciepło! - rozległ się nagle dziwny głos. - Ale ciepło! Jak to można wytrzymać?!

- Hm? - Darlan gwałtownie zatrzymał wierzchowca i rozejrzał się wokół. Iglaste, zielono-brunatne drzewa z obu stron napierały na leśny trakt. Ponad ich koronami rysowały się szare kontury odległych gór. Droga pod łapami biegacza była błotnista i grząska. Mocny wiatr szumiał wśród drzew. - Albo ja nie do końca rozumiem znaczenie słowa „echo”, albo to nie jest echo!

Biegacz pokiwał głową na znak, że on skłania się raczej ku drugiej możliwości. I wtedy pośród zarośli rozległo się:

- Co za nieznośne upały! Ujujuj! To mnie wykończy! Ujujuj! Koniec, po prostu koniec ze mną!

Darlan zsiadł z biegacza i pogłaskał go po szyi. Wierzchowiec parsknął. „No tak! Wiadomo, znowu się zaczyna... Zaraz, jak Darlan to nazywa? Hm... Przygoda! Tak, znowu zaczyna się przygoda! Czy ktoś rozsądny słyszał, żeby takie rzeczy robić pod koniec listopada?!”

Pojękiwanie nie milkło, wręcz stawało się coraz głośniejsze. Rycerz rozgarniał gęste krzaki, nogi zapadały mu się w wilgotnym mchu, a idący z tyłu biegacz gniewnie posapywał. Mroźne krople strącane z gałęzi co chwila kapały na długi Darlanowy nochal. „Zimno!”

- Jak gorąco! Ujujuj! Co za upał! - jęczący osobnik był diametralnie innego zdania. - Jak śniegbumcykcyk, nie wytrzymam!

W końcu Darlan przedarł się przez gąszcz i stanął na skraju niewielkiej polany. Na samym środku siedziało i zawodziło małe stworzenie.

Z bardzo daleka można by je wziąć za białego jamnika. Przy bliższych oględzinach okazałoby się, że zwierzak jest porośnięty gęstym białym futrem, a jego dwie przednie łapy mają chwytne place.

Nagle stworzenie ucichło, najwyraźniej wyczuło obok siebie obcego. Błyskawicznie odwróciło się w stronę Darlana. I wtedy rycerz zobaczył jeszcze jedną różnicę między jamnikiem a tą istotą. Z nosa białego puchacza sterczał całkiem długi, przezroczysty róg. Ostrze lśniło błękitem, w jego wnętrzu skrzyły się srebrzyste migotania, a szpic wydawał się tak ostry, jak ostre są języki plotkarek na królewskich dworach. Oczy stworzenia były błękitne i duże - przypominały oprawione w srebro kamienie lazurytu.

- Witaj! - powiedziało.

„Jamniki nie gadają - pomyślał Darlan. - Więc co to jest, u licha?!”

- Witaj! - odpowiedział grzecznie, bo grzeczność dla błędnego rycerza jest równie ważna co igły dla jeża.

- Musisz mi pomóc! - powiedziało stworzenie, a srebrne iskierki w jego rogu zamigotały.

Czyżby próbowało mnie z czarować? - zastanawiał się Darlan. Posiadał wprawdzie kilka zabezpieczeń od uroków, ale z magią nigdy nic nie wiadomo. Na wszelki wypadek dotknął dłonią przymocowanej do hełmu Antymagicznej Zaczepno-Obrończej Łapki, którą otrzymał od zaprzyjaźnionego wykładowcy Uniwersytetu Nauk Ścisłych. Uczony ten, posiadacz wielu magicznych fakultetów, prowadził też samodzielne wykłady w Katedrze Zombiludków Północnonizynnych. A ponieważ kadrze naukowej się nie przelewa, w wolnych chwilach dorabiał. Chałupniczo produkował najwyższej jakości, niedostępne w zwykłych sklepach magiczne przedmioty: amulety chroniące przed różnorodnymi czarami, uczciwe firmy budowlane, zapewniające najwyższą jakość obrazu szklane półkule (całe kule mogą wytwarzać jedynie najwyżsi ranga mistrzowie magii). Darlan wyświadczył mu kiedyś pewną przysługę i w zamian został obdarowany kilkoma czarodziejskimi przedmiotami.

Puchaty stwór nie był jamnikiem ani żadną normalną istotą, na jaką można się natknąć w lesie - lisem, borsukiem, utopcem czy elfem. Mógł być niebezpieczny.

- Ujujuj! Bardzo cię proszę, pomóż mi! - znów zachlipało białe stworzenie.

Wyglądało przy tym tak smutno i żałośnie, że Darlanowi zmiękło serce.

- Jestem rycerz Darlan - przedstawił się, podchodząc bliżej stworzenia. - Jak mogę ci pomóc?

- Ja mam na imię Lódmił, przez „o” z kreską. Muszę jak najszybciej dotrzeć w jakieś zimne miejsce! - gdy wymawiał „zimne”, jego lazurytowe oczy załśniły.

- Zimne? - Darlan kucnął przy stworzeniu. - Spójrz na czubek mojego nosa. Ma kolor dojrzałego buraka z powodu mrozu!

- Dla mnie jest tu gorąco - powiedział Lódmił, nieco się uspokajając. - W mojej ojczyźnie tak ciepło nie bywa nawet latem.

- Nie wiem, czy uda mi się ci pomóc - mruknął Darlan.

- Jeśli się nie uda, panie Darlanie, to umrę! Za tydzień, najwyżej dziesięć dni - stworzenie zadygotało.

Rycerz wyciągnął rękę, żeby je pogłaskać, ale Lódmił cofnął się gwałtownie.

- Nie dotykaj mnie! Możesz sobie odmrozić rękę, a mnie poparzysz!

- Kim ty właściwie jesteś, Lódmił przez „o” z kreską. I skąd się tu wzięłeś?

- Nie wiem, jak tu trafiłem. Ostatnie, co pamiętam, to to, że jestem w moim lodowym domu i zapadam w letni sen, aby przeczekać trzy miesiące upałów. A potem znalazłem się tutaj. W tym gorącym kraju, bez rodziny, bez przyjaciół i bez jedzonka... Ujujuj! Jestem lodorożcem, samotnym, małym, zagubionym lodorożcem! Ujujuj!

- Ha! - Darlan pytająco spojrział na swojego biegacza.

Wierzchowiec nawet nie kręcił głową. Wiedział doskonale, że rycerz już podjął decyzję. Wizja ciepłej stajni, góry siana i worka suszonych śliwek znów zniknęła sprzed oczu biegacza. Na dodatek ze słów lodorożca wynikało, że w miejscu, do którego pewnie się wybiorą, jest zdecydowanie zimniej niż tu.

Zabłąkana kropla mroźnego deszczu kapnęła na nos biegacza, budząc w dzielnym wierzchowcu jak najgorsze przeczucia.

- Jestem lodorożcem, a przyzwoity lodorożec nie szwenda się po dworze, kiedy śnieg stopnieje. Razem z całą rodziną mieszkam na górskim lodowcu, wysoko, prawie pod samym niebem.

Rycerz wierzył, że zdoła pomóc biednemu lodorożcowi, i wiedział, że należy się spieszyć. Uznał jednak, że zanim wyruszą w dalszą drogę, musi jak najwięcej dowiedzieć się o swoim nowym kompanie. Każda informacja mogła być przydatna.

- Niedaleko ciągnie się łańcuch górski, którego szczyty są wiecznie ośnieżone - powiedział rycerz. - Może tam mieszkasz? Jaki był ten twój lodowiec?

- Był bardzo milutki, twardziutki i chłodniutki. Aha, i był z lodu.

- To rzeczywiście bardzo niezwykle jak na lodowiec - mruknął Darlan.

- Nam, lodorożcom, to bardzo odpowiada. Lubimy mróz, zawieje i śnieżyce. Żywimy się płatkami śniegu, pijemy chłodnym wiatrem, a na deser wsuwamy blask zorzy. Smakołyki, mówię ci, panie Darlanie, pychota! Przez prawie cały rok bawimy się na stokach: śpiewamy piosenki, lepimy bałwany i tworzymy lodowe rzeźby. Kiedy kończy się wiosna i robi się zbyt ciepło - zagrzebujemy

się w jamach i zapadamy w letni sen, żeby przetrwać gorące dni. Gdyby ktoś z nas tego nie zrobił, to jego róg wkrótce by się stopił. A kiedy róg lodorożca stopi się całkowicie, lodorożec umiera. Zobacz! Kiedy kładłem się spać, mój róg był znacznie dłuższy. O, tyle! - Lódmił próbował zademonstrować ów niezwykły rozmiar, rozkładając krótkie rączki.

- I co? Położyłeś się spać u siebie, w tym przytulnym, chłodniutkim - Darlan zadrżał na samą myśl - legowisku?

- Tak jest! A obudziłem się tutaj, w środku lasu. Bo to jest las, prawda? U nas w górach takich nie ma. Mama mi opowiadała bajki, że w lesie to stoją tacy duzi, brązowi, o stu ramionach. No i bardzo proszę, są! - lodorożec powiódł wzrokiem po otaczających go drzewach.

- Myślę, że możemy cię uratować. Po prostu zboczę ze szlaku i zawiozę cię w góry. Nawet jeśli to nie są twoje ojczyste strony, to znajdziesz jakąś dostatecznie zimną kryjówkę, by przeczekać do prawdziwej zimy. A wtedy bezpiecznie ruszysz na poszukiwania domu. Czy tak może być, Lódmił przez „o” z kreską?

- Może być, panie rycerzu, przez „c” bez kreski! - odkrzyknął zadowolony lodorożec.

„Wertepy, mróz i niewygody - pomyślał zrezygnowany biegacz. - Oto, do czego może doprowadzić nauka ortografii!”.

Wkrótce wyruszyli w drogę. Oczywiście zboczyli z głównego szlaku, kierując się na skróty przez las - prosto ku górcom. Darlan miał nadzieję, że do ich podnóża dotrą za trzy dni, a następne trzy zajmie im wspinaczka ku wyżej położonym, chłodniejszym obszarom. Jechali więc środkiem lasu, klucząc między drzewami, czasem przedzierając się przez gęste zarośla, czasem wykorzystując ścieżki leśnych zwierząt oraz dróżki wydeptane przez elfy i rusalki.

Lódmił podróżował w małym koszyku przytroczonym do boku biegacza, tak aby ani przez chwilę nie mógł dotknąć człowieka ani wierzchowca. Drugiego dnia wędrówki jego stan nieco się pogorszył. Lódmił mniej mówił, jego róg stał się wyraźnie krótszy, a wirujące w środku srebrzyste gwiazdki - przygały. Darlan próbował rozbawić lodorożca naprędce ułożoną piosenką, jednak bez większego powodzenia.

Smok trzygłowy ma trzy głowy,

Pięciogłowy ma głów pięć,

Nawet rycerz zawodowy

Musi naciąć dużo cięć,

by te głowy mieć już z głowy

i na dalsze łowy chęć!

Jednak tuż pod wieczór lodorożec wyraźnie się ożywił.

- Czuję chłód! - powiedział radośnie. - Wyczuwam coś rozkosznie mroźnego!

- Noc idzie - wyjaśnił Darlan. - Nocą zawsze jest zimniej, prawda?

- Czy uważasz, panie rycerzu, że nie jestem w stanie odróżnić zwyczajnego nocnego mrozu od pysznego, dobrze przygotowanego chłodu? - obruszył się lodorożec. - To tak, jakby błędny rycerz nie potrafił odróżnić zwykłego smoka od bazyliuszka.

- Aha! - powiedział Darlan ugodowo, nie chcąc wdawać się w drakonologiczną dysputę. Po prawdzie, to nie znał ani jednego rycerza, który odróżniałby smoka od bazyliuszka. Wszyscy bowiem dzielni wojacy, którzy ujrzeni bazyliuszka na własne oczy, potem nadawali się jedynie do postawienia w ogródkach obok klombów i gipsowych krasnali.

- Ten chłód zbliża się do nas - powiedział Lódmił wkrótce potem. - Och, jakie to przyjemne! Wkrótce się z nim spotkamy!

- Przyjemny jest też obiad z siedmiu dań - powiedział rycerz. - Tyle że potem przez tydzień boli cię brzuch. Może ten chłód ma coś wspólnego z twoimi problemami. Lepiej zwiń się na dnie koszyka i siedź cicho. Ja sprawdzę, co się dzieje, choć na myśl o jeszcze większym mrozie dostaję gęziej skórki.

- Nie obawiaj się - uspokoił Darlana lodorożec. - To nie jest zimno, które wyczuje człowiek lub biegacz. To magiczna koncentracja chłodu, nieróżniaca się temperaturą od otoczenia. Rozumiesz?

- Jasne, że rozumiem - powiedział szybko Darlan, mając nadzieję, że Lódmił nie zechce tego sprawdzić. - Teraz nakryję koszyk, bo tu rzeczywiście ktoś idzie i zaraz się z nim spotkamy. Masz być cicho!

Rycerz zamknął kosz i przykrył go pledem. Po chwili dobiegł go konspiracyjny szept.

- Tak dobrze, panie rycerzu?

Darlan przyjrzał się wiszącemu u siodła tobołkowi. Lodorożca nie było widać, więc również szeptem odpowiedział:

- Dobrze! Siedź tam w bezruchu, jakbyś był swoją lodową rzeźbą!

- A kto ci powiedział, że nasze lodowe rzeźby siedzą w bezruchu...? - próbował dyskutować Lódmił, ale Darlan uciszył go cichym syknięciem. Oto z naprzeciwka dało się bowiem słyszeć ciężkie posapywanie, trzask łamanych butami gałązek i głośne pobrzękiwanie. Po kilku chwilach spomiędzy drzew wyłoniła się niska, przygarbiona sylwetka. Darlan dostrzegł długą, siwą brodę,

która jeśli nawet zetknęła się kiedyś z grzebieniem, to na pewno nie w tym stuleciu. Jej właściciel wyglądał na takiego, który mógł pamiętać jeszcze dawniejsze czasy. Był niskim człowiekiem, o pomarszczonej, jakby zeschniętej twarzy, gęstych, żółtych brwiach i szerokim nochału poznaczonym siecią żyłek. Włosy też miał żółte, tyle że jaśniejsze, a po raz ostatni cesał je pewnie wtedy co i brodę. Ubrany był w szary płaszcz bez kaptura i z dużymi kieszeniami.

- Witaj, jestem rycerz Darlan. Wędruję po świecie w poszukiwaniu przygód i dobrych uczynków do spełnienia. A ty?

- A ja wręcz przeciwnie - odpowiedział starzec po otrząśnięciu się z chwilowego zaskoczenia. Zapadło kłopotliwe milczenie. Przerwał je rycerz.

- Co robisz samotnie w środku dzikiego lasu? - spytał.

- Chodzę sobie - dziadek łypnął na Darlana złym wzrokiem.

- Tak bez celu?

- To bez celu, bulwa, nie wolno? Coś ty za jeden, że mnie wypytujesz? Myślisz, bulwa, że jak miecz wozisz przy boku, to już możesz spokojnych ludzi zaczepiać?!

- Bardzo cię przepraszam, szanowny panie - ukłonił się Darlan. - Nie chcesz rozmawiać, to rozejdźmy się w swoje strony. Ja idę tam, a ty tam!

- I jeszcze mi tu będzie pokazywał, gdzie mogę chodzić, bulwa! To ja pójdę tam! A ty tam! - krzyknął dziadek. Nagle się uspokoił. - Zaraz, w góry jedziesz, powiadasz? No dobra, niech ci będzie. Tu niedaleko, dla ciebie po drodze, stoi mój dom. Możesz do mnie zajechać, przenocować.

- Śpieszę się trochę!

- Stare przysłowie centaurów mówi, że kto się śpieszy w podróży, ten kończy jak... - starzec zawahał się. - Ten jest jak... Ten wygląda jak.. Zapomniałem, bulwa! Ale na pewno jakoś się kończy i wygląda bardzo mamie! A centaury znają się na życiu. Więc zapraszam do siebie. Tobie proponuję lipową herbatę, a dla biegacza znajdą się śliwki!

„To był chwyt poniżej pasa” - pomyślał Darlan, patrząc na swojego wierzchowca, który nagle zapragnął jak najszybciej wyruszyć w dalszą drogę.

Wędrowali już pewien czas, kiedy Darlan dostrzegł białą tabliczkę wiszącą na jednym z drzew. Napis na tabliczce brzmiał:

„CZY KTOŚ CIĘ TU ZAPRASZAŁ?!.”.

Odpowiedź pojawiła się na desce przybitej do następnego drzewa:

„NA PEWNO NIE!”.

- Ktoś tu nie lubi gości - mruknął Darlan.

- To ja nie lubię gości - staruszek był z siebie wyraźnie zadowolony. - Czy w innym przypadku zamieszkałbym na takim odludziu?

- Czym się tu zajmujesz?

- Myśleniem. Czynność nieznaną większości ludzi, niestety. Ty czasem myślisz, rycerzu? Czy tylko machasz mieczem?

- Nie masz wysokiego mniemania o mojej profesji.

- A o czym, bulwa, tu mieć dobre mniemanie? Rabusie, kłusownicy, podrywacze! Oto, kim jesteście! I do tego zazwyczaj nieuprzejmi dla starszych.

Darlan spojrzał na następny napis na drzewie.

- Zaprawdę, z twoją gościnnością niewielu z nas może się równać!

Napis brzmiał:

„WYNOCHA!”.

Staruszek znów się uśmiechnął, dostatecznie szeroko i długo, by Darlan mógł obejrzeć jego trzy zęby.

- Widzę, że nie jesteś w ciemną bity, drogi rycerzu! Jak ty właściwie masz na imię?

- Darlan.

- A ja jestem doktor profesor Albin Von Klusky, Możesz do mnie mówić: „Albinie” albo „profesorze”.

- Dobrze, Albinie.

I tak gwarząc, jechali dalej. Lódmił cicho siedział w koszyku, a biegacz niecierpliwie

wypatrywał obiecanych śliwek. Darlan cały czas próbował odgadnąć, kim naprawdę jest ów dziwny i niemłody posiadacz uzębienia składającego się głównie z dziur. Minęli wiele kolejnych ostrzegawczych tablic, kolorowych plakatów, świecących napisów utworzonych przez robaczki świętojańskie, a nawet kilka gnomów stojących na baczność pod drzewami i wykrzykujących propagandowe hasła:

„UWAGA! ZŁE TROLLE!”.

„TU GRASUJĄ DRAPIEŻNE BAGNA!”.

„SPADÓWA NA BAMBUS!”.

„REZERWAT WILKOŁAKÓW!”.

„JESTEŚ NA POLU MINOWYM!”.

Darlan nie dostrzegł żadnych trolli, biegających bagien ani wilkołaków (o bambusie w tej strefie klimatycznej nie warto nawet wspominać). Jednak ostatnie ostrzeżenie nie było bez pokrycia. Na oznaczonym terenie Darlan dostrzegł kilkanaście włochatych pyskulców gotowych do zrobienia tak ohydnych min, że najodważniejszemu podróżnikowi mogłoby od nich struchleć serce. Pyskulce słyną ze swojej urody. To znaczy z jej braku. Na znak doktora profesora Albina rozstąpiły się jednak, groźnie łypiąc swoimi sześcioma oczami.

- Biorą strasznie dużo za swoje usługi - wyjaśnił von Klusky. - Ale to się kalkuluje.

W końcu wędrowcy dotarli do wysokiej góry, pierwszego zwiadowcy całego łańcucha ciągnących się w obie strony szczytów. Drzewa rozrzedziły się, potem rozstąpiły na boki. Przed Darlanem pojawiła się stroma, niemal pionowa skalna ściana. U jej podnóża stał dom Albina; dość obszerna dwupiętrowa budowla z czerwonej cegły, wsparta plecami o granitową turnię. Obok było kilka budynków gospodarskich, a także wiatrak i dziwna konstrukcja ze stalowych prętów.

- Tu mieszkam - powiedział von Klusky i Darlan po raz pierwszy w jego głosie usłyszał ton prawdziwego zadowolenia. Najwyraźniej staruszek lubił to miejsce. - A to mój jedyny towarzysz i pomocnik!

Drzwi domu otworzyły się i na spotkanie podróżnym wyszedł niski, garbaty stwór. Dopiero po chwili Darlan zorientował się, że owa istota na plecach nosi nie garb, ale dużą muszlę. Miała krótkie nogi, trzypalczaste ręce i oczy dyndające nad głową na wysokich słupkach. Powoli zbliżyła się do przybyszy.

- To ślimoń - gwizdnął Darlan z uznaniem. - Dawno takiego nie widziałem!

- A żałuj, panie rycerzu, żałuj. Ślimonie nie są może zbyt bystre i szybkie, ale za to bardzo

pracowite i sympatyczne. No i nie zajmują wiele miejsca, bo swój dom zawsze noszą na plecach. Hej, kochany Millupie, przywitaj się z gościem!

Słupki na czubku głowy ślimonia wygięły się w stronę Darlana. Millup łypnął powiekami, po czym powiedział powolnym, basowym głosem.

- Bardzo panu dzień dobry!

- Ma trochę kłopotów ze składnią - szepnął Albin Darlanowi. - Nie zwracaj na to uwagi, bo zrobisz mu przykrość!

- Dzień dobry! - uśmiechnął się Darlan do ślimonia. - Jak leci?

- Nie leci - odpowiedział Millup po chwili namysłu. - Idzie się.

- I nie używaj metafor - znów szepnął Albin. - Bo go rozboli głowa.

- Kolacja gotowa już - powiedział ślimoń. - Pyszna, ale smaczna.

Darlan kiwnął głową i pogłodził po szyi biegacza.

- Chciałbym go najpierw zaprowadzić do stajni, oczyścić i dać mu jeść. Potem chętnie coś sam przekąszę.

- Tak. Millup, nakryj do stołu, a ja pokażę gościowi nasze gospodarstwo - Albin odprawił służącego ruchem ręki. Zaprowadził rycerza do małego, drewnianego budynku. W środku, ku zdziwieniu Darlana, panował wielki porządek. Stojący tu wóz i uprzęż dla wołów były starannie wyczyszczone, w boksach dla wierzchowców leżało świeże siano, a ściany były świeżo odmalowane. Całkiem niezłe jak na kogoś, kto sam czesze się wyłącznie w okrągłe rocznice świąt państwowych.

Dwa miejscowe biegacze przywitały przybyszów miłym gwizdem. Biegacz Darlana coś im odpowiedział i już po chwili między wierzchowcami toczyła się ożywiona pogawędka.

- Na pewno nas obgadują - uśmiechnął się Darlan.

- Raczej dyskutują, one to bardzo lubią, szczególnie o polityce.

Darlan uważniej spojrział na swojego wierzchowca, z którym wszak podróżował od bardzo dawna.

- O polityce? Biegacze?

- Moje lubią też debaty filozoficzne, rozwiązywanie zawilości kodeksów drogowych w Królestwie Pankratii oraz analizę praw spadkowych pomiędzy stu sześćdziesięciorgiem trojgiem dzieci Cesarza Kurdii. Twierdzą, że to równie skomplikowane i poważne zagadnienia.

- Aha! - powiedział Darlan i zabrał się do zdejmowania bagaży ze swojego biegacza. Wierzchowiec pogwizdywał z przejęciem, najwyraźniej podekscytowany możliwością wymiany poglądów z innymi biegaczami.

„Jak on powiedział? Kodeks drogowy Królestwa Pankratii?” - pomyślał rycerz z rozpaczą. Spojrzał za siebie, ale staruszka już nie było. Wykorzystując tę chwilę, podniósł pled zasłaniający koszyk z lodorożcem.

- Jak tam, zadowolony? - spytał.

- Ciekawe, czy ty byłbyś zadowolony, jakby cię ktoś wiozł po takich wertepach i kazał siedzieć nieruchomo?! - Lódmił wstrząsnął się, przeciągnął, podrapał pazurkami w dno koszyka. - Zobacz, róg mi się znowu skrócił! Mamy coraz mniej czasu...

- Nocleg tutaj to dobry pomysł - powiedział Darlan. - Wcale nie zboczyliśmy z trasy. Wkrótce czeka nas ciężka wspinaczka, więc musimy dobrze się wyspać i najeść.

- Ano właśnie, najeść i napić! - rozległ się głos wchodzącego do stajni Albina. Darlan szybko przykrył koszyk pledem i odwrócił się. Von Klusky trzymał w rękach dwa kubki z parującym płynem.

- Po długim marszu nie ma to jak lipowa herbata z miodem. Proszę, skosztuj!

Darlan wziął w dłonie gorący, gliniany kubek. Fala ciepła przepłynęła wzdłuż jego ramion, rozpełzła po całym ciele. Wonny aromat napoju drażnił nozdrza. Albin von Klusky siorbnął ze swojego naczynia.

- Uff... dobre, ciepłe, ożywiające. Nikt tak nie parzy lipowej herbaty z miodem jak ślimonie!

Darlan przysunął kubek do ust. Herbata była pyszna. Już po chwili rycerz poczuł, że jego przemarznięte ciało powoli się rozgrzewa.

- I nic tak jak gorąca herbata z miodem - powiedział Albin von Klusky, patrząc wprost w twarz Darlan a - tak dobrze nie ukrywa smaku trucizny. Uwierz mi, panie rycerzu, jesteś dokładnie tak samo głupi jak wszyscy inni twoi koledzy po fachu.

- Co to jest...? - wychrypiął Darlan i ruszył w stronę staruszka. Zdołał zrobić jeden krok. Nagle zakręciło mu się w głowie. Poczuł, jak jego mięśnie wiotczeją, a kolana same się uginają. Upadł na ziemię.

- No i, bulwa, bęc! - to były ostatnie słowa, jakie usłyszał. Potem ktoś zgasił światło i wyłączył muzykę. Bęc!

Paru rzeczy w życiu Darlan nie lubił. Na szczycie tej listy znajdowały się: gotowany groszek; krasnoludy, które się nie myją, ale używają miejskich dyliżansów; budzik; królewscy poborcy podatków. Sam jej szczyt zajmowało: obudzić się w czarnym i zimnym lochu z bolącą głową i pustą pochwą miecza. Tak jak teraz.

Tylko nikły strumyczek światła wpadający przez szparę pod drzwiami rozpraszał ciemność. Darlan odczekał chwilę, żeby przywyknąć do półmroku, i podniósł się z podłogi. Dla bezpieczeństwa wyciągając przed siebie ręce, zmierzył krokami wielkość celi. W jednym jej kącie natrafił na zamkniętą beczkę. Na ścianach wymacał kilka półek, na których stały różne naczynia. Sprawdził zawartość kilku słoików. Wypełniały je różnorodne specjały mające wspólną cechę: dżem śliwkowy, powidła śliwkowe, kompot śliwkowy, sok śliwkowy, syrop śliwkowy. Darlan był pewien, że jego biegacz sam, bez żadnej trucizny i ogłuszania, dałby się zamknąć w tej celi. Rycerz nieco się uspokoił. Najwyraźniej Albin nie był podstępny porywaczem, skoro jako więzień musiał wykorzystywać własną piwnicę, a nie jakiś przygotowany zawczasu loch. Zresztą, czy człowiek, który szykuje przetwory na zimę, może być naprawdę zły i niebezpieczny?

Z drugiej jednak strony stary dziwak nie zrobił na Darlanie dobrego wrażenia. Rycerz szczególnie niepokoił się losem lodorożca. Jeśli ten biedak dalej tkwi w koszu, to pewnie jego róg znacznie się już skrócił, o tak, należało się śpieszyć!

Ledwie Darlan skończył te wstępne oględziny, za drzwiami rozległy się jakieś dźwięki.

- To ty, Albinie? - spytał rycerz.

- A kogo się spodziewasz, młody łobuzie? Pewnie, że ja.

Darlan nawet się ucieszył. Przecież, od dobrych dwudziestu lat nie nazwał go „łobuzem”. I to młodym!

- Znalazłem twoją ofiarę, podły morderco!

To określenie Darlanowi znacznie mniej się podobało.

- Hola, hola, a czemuż to mnie obrażasz?! - spytał gniewnie. - Czy to ja ludzi poję zatrutą herbatą i wsadzam do ciemnego lochu?

- Bo to właściwe miejsce dla takich padalców jak ty, bulwa!

Darlan rozeźlił się nie na żarty. Stał tuż przed drzwiami swej celi, jakby dzięki temu mógł zobaczyć znajdującego się po drugiej stronie przeciwnika.

- Niech no tylko stąd wyjdę, to... Zaraz, zaraz. Znalazłeś lodorożca?

- A pewnie, że tak! Myślisz, że tak go dobrze ukryłeś? Że jak oczy czegoś nie widzą, to się tego nie da odkryć? Tępy jesteś jak swój miecz, panie rycerzu. Zaraz, jak cię spotkałem na tej drodze, to wyczułem, że go wiesz w koszu. I teraz go mam! Myślisz, że po co cię zaprosiłem do mojego domu? Że nie mam nic innego do roboty, tylko gościć takich obwiesiów jak ty, bulwa!

Darlan już miał odpowiedzieć, gdy zza drzwi dobiegł go głos należący do ślimonia.

- Pobudka, panie Albinie, porusz kości własne!

- Co się stało? Gdzie mam iść?

- Zimnolub obudził się. Nerwi się.

- No dobra, idę. Jeszcze ty mi wszystko, bulwa, wyśpiewasz, gagatku! - wrzasnął Albin do Darlana na odchodne. Rycerz nie zdążył odpowiedzieć. Chwilę trwał w półmroku, nasłuchując odgłosów zza drzwi.

- Millup, jesteś tam jeszcze? O co chodzi twemu panu?

- Jest badaczem - odpowiedział ślimoń. - Więc bada. Do zegnaj. Pa, pa.

- Ej, Millup, czekaj. Lodorożec, czy jest bezpieczny? Czy nic mu nie grozi?

- Grozi, grozi. Grozi, grozi... - powtórzył Millup, ale każde jego słowo dobiegało jakby z większej oddali. Najwyraźniej ślimoń odchodził, a gadał sam do siebie. Jeszcze przez kilka chwil do zamkniętego w celi rycerza dobiegały coraz cichsze słowa.

- Grozi, grozi, grozi...

Darlan stał naprzeciw zatrzaśniętych drzwi swego więzienia, w mroku, bezbronny i słaby. Nie miał czasu. Musiał ratować lodorożca.

- Grozi... grozi... grozi...

Błądny rycerz przyzwyczajony jest do niebezpieczeństw. Co mu tam groźne potwory, dzikie zwierzęta czy podstępni czarodzieje. O tak, po to właśnie się zostaje rycerzem, by z mieczem w garści walić po łbach złe istoty, pomagać słabszym i ratować piękne księżniczki (brzydkich księżniczek nie ma, chyba że fałszywe). Rycerz winien stawać do walki w pełnym słońcu, bić się honorowo i pięknie, osądzać sprawiedliwie, lecz miłosiernie.

Ale nie zawsze tak się udaje. Jeśli siedzisz w ciemnym lochu, zabrano ci miecz, a niewinnej istocie, którą się zaopiekowałeś, zagraża niebezpieczeństwo - musisz działać inaczej.

„Jak włamywacz - przemknęło przez głowę Darlanowi. - A w zasadzie jak włamywacz, bo ja chcę stąd wyjść, a nie tu wejść. Mam nadzieję, że nikt mnie teraz nie zobaczy”.

I nie chodziło tylko o to, że Darlan ze sprzączki paska zrobił mały wytrych i że otwierał nim właśnie zamek piwnicy. Nie o to, że jakiś surowy strażnik honorowych kodeksów mógłby się oburzyć na stosowanie przez rycerza złodziejskich sztuczek. Nie, nie, Darlan obawiał się bardziej tego, co powiedzieliby przygodni obserwatorzy na jego widok. No bo, jak się zapewne domyśliliście, skoro Darlan używał paska jako wytrychu, to musiał go najpierw wyciągnąć ze spodni. Nie wyglądał teraz nazbyt rycersko, szczerze mówiąc.

Na szczęście w ciemnym lochu przebywały tylko stworzenia od pokoleń żyjące w ciemności, a

zatem całkowicie ślepe. I całe szczęście w tym ich nieszczęściu.

Manipulacje Darlana wreszcie przyniosły efekt. W zamku coś szcęknięło, drzwi zgrzytnęły i uchyliły się nieco. Rycerz zamarł w bezruchu, uważnie nasłuchując. Cisza.

Szybko więc podciągnął spodnie, w jednej chwili odzyskując w pełni rycerski wygląd i godność. A potem powoli opuścił swoją celę. Znalazł się w wąskim korytarzyku. Słoneczne światło docierało tu przez małe, znajdujące się tuż pod sufitem okno. Darlan mógł więc dostrzec wzdłuż korytarza liczne drzwi podobne do tych, za jakimi sam był uwięziony, a także prowadzące w górę schody. Powoli zaczął się po nich wspinać, aż dotarł do kolejnych drzwi.

Nasłuchiwał chwilę, a potem nacisnął kłamkę. Hura! Nie były zamknięte na klucz. Uchyliły się cicho i w oczy Darlana uderzyła jasność. Wszedł do przestronnego pomieszczenia. Przez duże okna wpadało tu światło słoneczne. W pokoju było kilka stołów, na których leżały jakieś papiery, zwoje pergaminu. Stała tam też waga, okazałych rozmiarów mikroskop, butle wypełnione kolorowymi płynami, szklany słoik z zamkniętą w środku małą galaktyką spiralną i drugi, w którym koło drabinki siedziała znudzona żabka. Ściany gabinetu obwieszane były różnego rodzaju tablicami przyrodniczymi, arkuszami papieru ze szkicami dziwnych maszyn i portretami kobiet w kostiumach kąpielowych.

W środku pomieszczenia stał wielki pryzmat z kryształu górskiego. Przez okno padał nań promień słońca. Światło wnikało w kryształ, rozszczepiało się i na przeciwległej ścianie tworzyło piękną tęczę. Na tej ścianie znajdowało się też mnóstwo termometrów. Na niektóre padał różnokolorowy blask promienia, inne znajdowały się poza jego zasięgiem.

W kątach pomieszczenia stały wypchane zwierzęta i potwory z zimnych stref klimatycznych.

- No, niezła kolekcja trofeów myśliwskich, jak na uczonego - mruknął Darlan. - Biały niedźwiedź, yeti, dziadek mróz, pingwinołak, profesor Albin, małpa śnieżna, czukczozaur... Profesor Albin?

- Ręce do góry - powiedział von Klusky, wychodząc z kąta. W ręku trzymał kawałek rury, której koniec mierzył w Darlana. - Nie próbuj żadnych sztuczek. To, co mam w ręku, to mój nowy wynalazek. Pluje ogniem. Jeszcze nie wiem, jak go nazwę, ale bądź pewny, że działa.

- Co zrobiłeś z lodorożcem?

- A co cię to obchodzi?

- Róg mu się skraca cały czas. To dla niego niebezpieczne.

- Nie trzeba było mi go zabierać.

- To co, miałem go zostawić na pewną śmierć? - Darlan zamilkł nagle. - Zaraz, zaraz... jako to „tobie” zabierać?

- Jak to, bulwa, „zostawić na śmierć”?! - stary profesor ruszył w stronę Darlana, na moment tylko opuszczając ku ziemi koniec swojego plującego ogniem kijaszka. Rycerz błyskawicznie skoczył w

jego stronę i bez większego problemu jednym szarpnięciem wyrwał mu broń z ręki. Stali teraz tuż obok siebie, niemal dotykając się nosami. Na twarzy profesora malowało się zdziwienie i oburzenie. Ale nie strach.

- Jak na porywacza, nie zachowujesz się, Albinie, zbyt roztropnie - powiedział Darlan po chwili milczenia, Albin głęboko nabrał powietrze w płuca.

- BO NIE JESTEM PORYWACZEM, PORYWACZU! - wrzasnął.

- No dobrze, to porozmawiajmy jak porywacz z porywaczem, dobra? - Darlan uśmiechnął się. - Ty porwałeś mnie. A ja kogo?

- Jak to kogo? Lodorożca!

Rycerz patrzył Albinowi prosto w oczy. Profesor nie oszukiwał, naprawdę wierzył w to, że Darlan chciał wyrządzić krzywdę temu białemu, puchatemu stworkowi.

- Mylisz się, Albinie - powiedział spokojnie. - Ja starałem się mu pomóc. Myślę, że musimy sobie wszystko powoli wyjaśnić.

- Tak naprawdę nie jestem bez winy - powiedział Albin von Klusky po chwili milczenia. - To z mojego powodu lodorożec tu się znalazł. I dlatego poczuwam się do odpowiedzialności za jego bezpieczeństwo. Badam naturę światła i ciepła - objął dalej profesor. - A także zimna i ciemności. Ten przedmiot w środku komnaty to...

- To pryzmat, drogi Albinie - przerwał mu Darlan z lekkim uśmiechem. Podszedł do górskiego kryształu. - Biały promień pada nań, ugina się i rozszczepia na składowe kolory. W taki sam sposób ze słonecznego światła rozszczepionego na kroplach deszczu powstaje tęcza.

- Ha, bulwa, ha, rycerzu, toś mnie zaskoczył! - wykrzyknął von Klusky. - Przyznam, że nie miałem nigdy wielkiego mniemania o przedstawicielach twojej profesji, ale chyba zmienię zdanie. Ha, bulwa, patrzcie no...

- A te termometry na ścianie? - spytał Darlan po chwili.

- To ciekawe, tak, to bardzo ciekawe. Odkryłem, że w rozszczepionym świetle znajduje się coś jeszcze, jakby promień ciepła. Zobacz - Albin podszedł do ściany - na ten termometr, który znajduje się tuż za czerwoną barwą tęczy. Widzisz, tu już nie ma żadnego koloru, ale ten termometr pokazuje wyraźnie wyższą temperaturę niż pozostałe. Myślę, że to kolor ciepła, niewidzialny dla nas, ale wchodzący w skład słonecznego światła, tak jak wszystkie barwy tęczy.

- A co to ma wspólnego z lodorożcem?

- W zasadzie nic - mruknął Albin po chwili namysłu.

- No to po co mi to pokazujesz?

- Bo to ciekawe, czyż nie, rycerzu? Fascynujące! Od lat badam fenomen światła i ciemności, od lat mieszkam na tym odludziu tylko z Millupem, a dopiero niedawno odkryłem tak niezwykle stworzenie jak lodorożec!

Darlan spojrział uważnie na profesora.

- To na skutek twoich eksperymentów znalazł się tutaj, prawda? Jak to zrobiłeś?

Von Klusky się zawahał,

- Na dole... w piwnicy... no, nie w tej, w której cię, z całym szacunkiem, trzymałem, mam drugi pryzmat. Większy. Dziwniejszy. Magiczny. To pryzmat ciemności. Tak jak ten tutaj rozszczepia światło, tak tamten dzieli na cząstki ciemność. Bo wiesz, mrok też składa się z wielu tajemnych kolorów. I zimna. Myślę, że to jest przyczyna. Rozszczepiłem ciemność i stworzyłem strumień krystalicznego, skondensowanego chłodu. Myślę, że ta fala mrozu jakoś ściągnęła lodorożca z jego gór. Podejrzewam, że cała rodzina Lódmiła mieszka na kilku najbliższych szczytach, tam są wielkie lodowce. Pasują do jego powieści.

W chwili gdy włączyłem pryzmat ciemności, Lódmił po prostu zmaterializował się w moim laboratorium. Cały czas spał, ale od razu rozpoznałem jego niezwykle właściwości. To żywa esencja mrozu, ujemnej energii, chłodnej magii. Jest niesamowity, wspaniały!

- Więc - Darlan przerwał ten wywód - postanowiłeś go zatrzymać, żeby go zbadać albo wykorzystać w swoich eksperymentach.

- Tak, spędzałem z nim mnóstwo czasu, całe dni i noce, obserwując jego reakcje na strumień chłodu i analizując jego magiczny wpływ na wszystko, co mroźne. Ale nie chciałem robić mu krzywdy! - gwałtownie zaprotestował von Klusky. - Po prostu chciałem mu się dokładnie przyjrzeć... No i wołałem poczekać na zimę, żeby go bezpiecznie wywieźć w góry, na lodowiec. Trzymałem go w chłodnej piwnicy, czasem delikatnie wtaczałem pryzmat mroku i dodatkowo naświetlałem promieniem mrozu. Był bezpieczny, spał sobie smacznie, a ja mogłem z nim spędzać mnóstwo czasu. Ale trzy dni temu zastałem otwarte drzwi do laboratorium, a lodorożec zniknął. Wyruszyłem więc w góry na poszukiwania. No i wtedy spotkałem ciebie.

- I uznałeś, Albinie, że to ja ci go ukradłem? I nie zdziwiło cię to, że przyjąłem twoje zaproszenie? Że chcę z powrotem jechać do twojego domku, chociaż niby właśnie stamtąd uciekałem?

- No wiesz, może chciałeś zmylić tropy... - powiedział von Klusky bez wyraźnego przekonania. - Byłem zdenerwowany. Przepraszam cię.

- Jak teraz tłumaczysz zniknięcie Lódmiła?

- Myślę, że to pryzmat mroku. Tak jak wcześniej ściągnął lodorożca z gór, tak tym razem magicznie przeniósł na polanę, gdzie go znalazłeś. Na szczęście zresztą...

- No dobrze, chodźmy zobaczyć, jak się czuje Lódmił - powiedział Darlan - A potem chętnie utnę

sobie drzemkę.

- Tym razem zapraszam cię do sypialni, a nie do piwnicy, bulwa! - uśmiechnął się von Klusky.

Cały dzień minął im na pogawędkach o dalekich krajach, naukowych odkryciach i lodorożcu. Darlan podziwiał różne wynalazki profesora, a im większe wyrażał uznanie, tym więcej nowych projektów wyciągał von Klusky ze swoich kufrów. Minął ranek, nadszedł wieczór i rycerz poczuł się cokolwiek zmęczony. Sprawdził jeszcze, czy jego biegaczowi niczego do szczęścia nie brakuje (nie brakowało), powiedział „dobranoc” ślimonowi (usłyszał w odpowiedzi: „A jakże, nie za zła, chyba nie”), pożegnał się z lodorożcem (któremu od przebywania w promieniu zimna róg odrastał tak szybko, jak nos Darlana czerwieniał) i poszedł do swojego pokoju, mocno ziewając.

Jednak nie mógł usnąć - mimo że pościelono mu na wygodnym łóżku, a wcześniej pozwolono wykąpać się w wielkiej balii gorącej wody. Już dawno minęła północ, a on ciągle wiercił się w pościeli, przewracając z boku na bok, brzucha na plecy, a także z pleców na bok, z boku na brzuch, z pleców na plecy i tak dalej. Najpierw myślał, że jest mu za duszno, więc uchylił nieco okno. Potem uznał, że mroźne górskie powietrze tylko go orzeźwia, więc je zamknął. Następnie zmienił zdanie i rozchylił okiennice na całą szerokość. Po kilku minutach szczykał zębami pod kołdrą, ale na myśl o tym, że miałyby teraz spod niej wyleźć, dostał ataku gęsiej skórki. Wreszcie zdobył się na ten mężny czyn i szybko wskoczył z powrotem do łóżka. Skoro i tak nie mógł spać, wziął się do czytania pożyczonej od Albina książki zatytułowanej: *Spisanie potworów górskich, nizinnych i niemogących się zdecydować, zamieszkujących krainy położone nie wiadomo dokładnie gdzie, ale na pewno za wielkim morzem (wraz z dwudziestoma trzema ilustracjami ktorowemi) uczynione przez imć Ameriggo Marrco Maggellano Collumbo de Kojacco w czasie yego wyprawy podyętej ku chwale piękney królowey Kurdupelli IV (oby nam yeszcze urosła) w roku, którego i tak nikt nie zapamięta, więc go nie podayemy w tytule.*

Książka pochłonęła Darlana całkowicie, bo opisywała stworzenia żyjące w miejscach, do których sam nigdy jeszcze nie dotarł. Nie zorientował się, gdy minęła kolejna godzina. Poczuł zmęczenie, odłożył więc księgę i próbował usnąć. I znowu na próżno.

Można by powiedzieć, że coś dręczyło Darlana, jakiś niepokój czy złe przeczucie. Przez chwilę myślał nawet, że zaatakowała go jakaś złośliwa zmora (stworzenia te prowadzą nocny tryb życia, a że w nocy niewiele jest do robienia, jeśli się nie mieszka w wielkim mieście, to wiejskie zmyry zabawiają się, siadając śpiącym ludziom na piersi, dusząc ich albo gilgocząc pod pachami). Na wszelki wypadek Darlan wygrzebał więc ze swoich tobołków zmorometr, strzasnął go i zbadał cały pokój. Wyrzeźbiona z olchowego drewna wskazówka nawet nie drgnęła.

- Niestety, żadnej zmyry tu nie ma - mruknął do siebie zmartwiony. Znał sto i jeden sposobów na pozbycie się nocnych duchów, ale niestety, żadnego na zwykłą bezsenność. Domyślał się, o co chodzi. Cały czas niepokoił się o lodorożca. Wierzył Albinowi von Klusky, ale jednocześnie intuicja podpowiadała mu, że coś tu nie gra. A Darlan, po latach podróży i niebezpiecznych przygód, zwykł ufać swoim przeczuciom.

Uznał, że musi się podzielić swoimi podejrzeniami z Albinem. Szybko ubrał się, włożył buty, wziął stojącą obok łóżka lampkę oliwną i wyszedł na korytarz. Skierował się ku podziemnemu laboratorium profesora, tam gdzie znajdował się pryzmat ciemności i pokój lodorożca. Zszedł tymi samymi schodami, którymi jeszcze kilka godzin temu wspinał się po ucieczce z więzienia. Po chwili stał w ciemnym korytarzyku. Rozpoznał drzwi swojej niedawnej celi, ale nie zatrzymał się przy nich, poszedł dalej w głąb lochu. Drogę znał, bo przecież był tu już wcześniej z Albinem. Korytarz wykuto w zboczu góry, wykorzystując pewnie przy tym jakieś naturalne zagłębienia. Chodziło o to, by do znajdującego się na jego końcu laboratorium Albina nie docierał nawet ślad słonecznego ciepła i blasku. W końcu Darlan doszedł do grubych, stalowych drzwi. Gdyby świeciły na czerwono, oznaczałoby to, że von Klusky prowadzi jakiś ważny eksperyment i nie można wchodzić. Ciepło człowieka i oliwnej lampki mogłoby zakłócić przebieg doświadczenia. Ponieważ jednak drzwi lśniły na zielono, Darlan nacisnął klamkę.

Słyszeliście kiedyś takie zdanie: zmarłem na kość? Tak właśnie poczuł się Darlan, gdy wszedł do laboratorium Albina. Zmarł na kość w ciągu jednej sekundy. Tak właśnie objawiała się magia pryzmatu ciemności - wielkiego czarnego kryształu zajmującego cały środek laboratorium.

Jednocześnie światło oliwnej lampki przygasło gwałtownie, tak więc pomieszczenie cały czas było pogrążone w półmroku. Szczękając zębami, Darlan ruszył ku siedzącemu za biurkiem Albinowi.

- Ppprofesorze... mmmuszę cccoś ppanu... - zaczął mówić, lecz urwał raptownie. Jego oczy przyzwyczyły się już do słabego blasku lampki i zaczął dostrzegać przerażające szczegóły.

Profesor nie siedział za swoim biurkiem, tylko leżał na nim, zgięty, z szeroko rozsuniętymi ramionami i głową wciśniętą w blat. Drzwi kojca, w którym jeszcze niedawno mieszkał sobie spokojnie lodorożec, były otwarte, a sam Lódmił zniknął.

Darlan przyskoczył do Albina, szarpnął go gwałtownie.

- Profesorze, profesorze! - ze zdenerwowania aż przestał szczękać zębami. Z trwogą wpatrywał się w nieruchomą twarz naukowca.

Nagle Albin von Klusky chrząknął, chrapnął, wymamrotał pod nosem kilka niezrozumiałych słów i znowu ciężko opadł na blat stołu, przy okazji potracając stojący na nim kubek. Naczynie przewróciło się, poturlało ku brzegowi, wylewając swoją zawartość. W nozdrza Darlana uderzył znajomy słodki zapach.

W tej samej chwili usłyszał ciche, przyzywające rzenie swojego biegacza. Można by pomyśleć, że to niemożliwe. Biegacz stał przecież w swoim boksie w stajni, na powierzchni ziemi. Tymczasem Darlan znajdował się w zamkniętej komnacie, oddzielonej od świata zewnętrznego wieloma metrami skały, kilkoma parami drzwi i ścianami domu Albina. Tak, można by przypuszczać, że Darlanowi tylko wydawało się, że słyszy głos swego wierzchowca. Ale przecież nie po to biegacz wybiera sobie jeźdźca, by mogły im potem przeszkodzić w porozumieniu jakieś kamulce, cegły czy stalowe wrota! O nie, rycerza i jego rumaka łączy więź niezwykła, przez niektórych bardzo mądrych ludzi nazywana telepatią. Darlan uważał, że bierze się ta telepatia ze wspólnego - biegacza i błędnego rycerza - telepania po bezdrożach. Nie zwykł lekceważyć wezwań swego przyjaciela (no, chyba że

biegacz marudził, że mu się suszone śliwki kończą). Zmiał skołtunioną brodę Albina w coś na kształt poduszki, podłożył ją pod policzek wciąż chrapiącego naukowca i wybiegł z laboratorium.

Od razu zrobiło mu się cieplej. Wręcz gorąco. Biegacz rżał coraz głośniej.

Schody, drzwi, pokój, drzwi, korytarz, drzwi, sień, drzwi. Szybciej, szybciej! Darlan wypadł na ganek. Przebiegł przez podwórze, otworzył drzwi stajni.

Była pusta.

Za to z daleka, z lasu dobiegało go rzenie kilku biegaczy. Czyżby porywacz miał współników, którzy ukradli i lodorożca, i wierzchowce? Zapowiadała się ciężka przeprawa.

Darlan wyciągnął miecz z pochwy i rzucił się w stronę, z której dochodziło rzenie biegaczy - w las, w dół górskiego zbocza, na przełaj przez chaszczce. Nie musimy więc chyba dodawać, że wkrótce zaliczył: trzy zderzenia z pniami drzew, cztery wywrotki (w tym dwie na nos, jedną na bok i jedną na tę część swego ciała, której nazwy nie wypada wypowiadać w książce dla dzieci), sześć zadrapań gałęziami i jedno zderzenie z zaspaną sową (która od tej pory przestała się szwendać po nocach i została jedyna na świecie sową dzienną - trafiła w ten sposób do księgi rekordów maga o dziwnym imieniu Sseniug, ale całe życie spędziła w przeciwsłonecznych okularach).

Darlan dzielnie znosił te wypadki, wstawał, otrzepywał się, coś tam sobie mruczał pod nosem i biegł dalej.

Rzenie to zbliżało się, to oddalało. W pewnej chwili Darlanowi wydało się nawet, że słyszy trzask gałązek łamanych nogami biegaczy, ale po chwili znowu były daleko. Jakby porywacze jeździli po lesie zygzakami. Może mieli kłopoty z opanowaniem dzielnych wierzchowców? A może kluczyli, żeby zmylić trop? Pewnie nie spodziewali się, że rycerz jest tuż za nimi.

Nagle usłyszał je tuż przed sobą. Rżały, hałasowały, podskakiwały, robiły tyle rumoru, że pobudziły pewnie wszystkie leśne stworzenia. Darlan zwolnił, wyrównał oddech, wyszeptał kilka zaklęć bojowych. Jeśli szykowała się walka z kilkoma wrogami naraz, musiał być przygotowany...

I wtedy nastąpiła wywrotka numer pięć. Darlan poślizgnął się na jakimś wielkim grzybie, ciężko nań klapnął (znów nie napiszemy, czym klapnął, żeby nie robić wstydu tak szanowanemu rycerzowi), po czym na kapeluszu tego grzyba, niczym na sankach, pomknął w dół górskiego zbocza. A że ciągle jechał lasem, po drodze zaliczył - łup, łup, drap, łup, drap, drap, drap - trzy kolejne zderzenia z drzewami i cztery drapnięcia ostrymi gałęziami. A na koniec grzyb wyskoczył do góry na jakiejś nierówności terenu i Darlan, niczym pilot małego latającego dywanu, poszybował w powietrzu między drzewami. W skrócie możemy tę drogę opisać: wziuuu, łup, oj, beng, ranyrany, trach, ała, wziuuu, bęc, plask. I na koniec:

- Aauuuuuć!

Tak właśnie wrzasnął Darlan zaraz po wylądowaniu, gdy czubkiem własnego miecza kolnął się w to miejsce, którego nazwy, jak zwykle, nie podamy. Rycerz podniósł się z rozpląkanego grzyba

powoli, starając się zachować nieco godności. Rozejrzał się. Na małej polance, oświetlonej blaskiem księżyca i gwiazd, stały cztery biegacze. Nie były osiodłane i nikt ich nie dosiadał. Nikt też niczym im nie groził. Przeciwnie. To one otaczały skuloną postać, nie pozwalając jej dalej uciekać i starając się robić miny tak groźne, na ile w ogóle biegacze to potrafią. Uciekinier siedział na ziemi, ściskając w rękę nieduży worek, w którego środku coś się poruszało.

Kiedy szypułkowate oczy ślimonia dostrzegły nowego prześladowcę, Millup załkał żałośnie i skulił się jeszcze bardziej.

- Ja zły dla zimny nos, ale nie za bardzo! Nie rób dobra krzywda! Błagam zdecydowanie!

Po czym się rozplakał.

Powoli jechali górską drogą, z każdą chwilą coraz bardziej zostawiając za sobą dom Albina von Klusky'ego, zaśnieżone szczyty i zimę. Tym razem Darlan kroczył obok biegacza, bo wierzchowiec dźwigał kilka ciężkich worków - prezentów od profesora.

- Wiesz, że to była twoja przygoda, mój przyjacielu? - powiedział Darlan do swojego biegacza. - Gdyby nie ty, nie wiadomo, jak by się to wszystko skończyło.

I rzeczywiście. Kiedy rycerz w eskorcie czterech biegaczy doprowadził przerażonego ślimonia do domu, zamknął go w tej samej piwnicy, w której sam przedtem był uwięziony. Potem dość dużo czasu zajęło mu dobudzenie Albina von Klusky'ego, uspionego sprytnie przez Millupa herbatą lipową z miodem. Profesor początkowo nie chciał uwierzyć w winę swojego służącego, ale sam ślimoń był tak przerażony, że wyznał całą prawdę. Tak, to on porwał lodorożca także i za pierwszym razem, podawszy najpierw Albinowi środek nasenny w lipowej herbacie. Czemu to zrobił? Z zazdrości. Przez wiele lat w podgórskim laboratorium mieszkał z profesorem tylko on. Pomagał Albinowi, służył mu, obdarzał niemalże synowskim uczuciem. Sam von Klusky też dbał o niego, uczył wielu rzeczy i bardzo lubił.

- Ślimoń trudno w życiu żyje! - tłumaczył Millup zadziwiająco długimi składnymi jak na niego zdaniem. - Przyjaciel rzadko, bo nasza mowa fajna, tak że aż dziwna. A i uroda inaczej jest.

Ślimoń po prostu bał się, że przestanie być ulubieńcem i przyjacielem zafascynowanego lodorożcem profesora. No i zdecydował pozbyć się rywala. Za pierwszym razem zostawił go w lesie, bo nie wiedział, jakie to może być dla Lódmiła niebezpieczne. Za drugim razem postanowił go wynieść wysoko w góry. Znowu uspił Albina, sądził też, że Darlan śpi zmęczony ostatnimi wydarzeniami. Nie docenił biegaczy. Te dostrzegły, że ktoś opuszcza dom, i bez problemu wyczuły ukrytego w worku lodorożca. I kiedy von Klusky smacznie spał, a rycerz czytał książkę, ruszyły w pościg za porywaczem.

- Tak to jest, mój drogi - znów zwrócił się do biegacza Darlan - kiedy przyjaciele przestają się rozumieć. Albin nie powiedział ślimoniowi, że lodorożec interesuje go tylko ze względów naukowych, a Millup ani słowa nie pisał o swoich obawach. Ha, a może pisał, tylko von Klusky go

nie zrozumiał? Wcale bym się nie dziwił. Niech już tam się ze sobą dogadają. Najważniejsze, że Lódmił jest teraz bezpieczny, a my możemy wędrować dalej. Nie za ciężko ci z tymi workami? Poprosiłem Albina o kilka książek, ale nie sądziłem, że da mi ich aż tyle.

„Bo i nie dał” - powiedziałby wierzchowiec, gdyby umiał mówić. W workach była tylko jedna książka (której tytuł na pewno wszyscy pamiętacie) i ze sto kilo suszonych śliwek, które biegacz otrzymał od Albina za uratowanie lodorożca. Ta zima nie wydawała mu się już taka zimna.